

Bohumil Hrabal

Bambini di Praga

przełożył
Andrzej Czcibor-Piotrowski

**świat
literacki**
Warszawa 1995

I

Dzwon oznajmiał południe.

Pan Hyrman, potężnie zbudowany rzeźnik z małym złotym kolczykiem w lewym uchu, otworzył wystawę i ponad szeregiem łbów wieprzowych patrzył poprzez asparagusy do wnętrza swojego sklepu, gdzie jego żona wołała właśnie:

— Proszę panów, w zawodzie rzeźnika i masarza czystość to połowa zdrowia!

Nie przestawała przy tym czyścić szmatką kafelków, wobec czego piersi jej kołysały się płynnie, tak że czterej agenci ubezpieczeniowi, przedstawiciele „Spokojnej Starości”, nie mogli nie spoglądać w jej dekolt.

— Nie uwierzyliby panowie — dodała pani rzeźnikowa — ile taki asparagus wyssie tłustego powietrza!

— Dlatego na żydowskich cmentarzach rośnie czarny bez — odezwał się agent, pan Bucefał. — Taki czarny bez wypuszcza korzenie i w parę lat wysysa wszystko. Łaskawa pani, te paróweczki były znakomite.

— Madam — powiedział z pełnymi ustami kierownik „Spokojnej Starości”, Krogulczyk — czy to parówki kosteleckie, czy frankfurckie? — I pochyliwszy się wytarł obrusem wargi.

Pani rzeźnikowa śmiejąc się nadchodziła z krojoną szynką. Uniosła różowy płatek nad rozchylone usta młodzieńca i zawołała:

5

— Oto specjalna porcja szyneczki dla pana Wiktor! Agent ubezpieczeniowy pan Wiktor Tuma, przystojny mężczyzna o berberyjskim typie, oblizwał paluszki pani rzeźnikowej i włosami niby to przypadkiem dotknął jej piersi.

— Ani kosteleckie, ani frankfurckie — zaprzeczyła pani rzeźnikowa. — Te parówki to nasz wyrób. Mój i mojego mężulka.

Wskazała wystawę, gdzie klęczał pan Hyrman i wkładał do świńskiego pyska żółciutką cytrynę.

— Klęczy tam w takiej samej pozie jak posąg jego eminencji księdza kardynała księcia Thun-Hohensteina na staromiejskim cmentarzu na Smichowie — oznajmił pan Wiktor.

— A więc pan także jest katolikiem? — ucieszyła się pani rzeźnikowa.

— Także! — odparł pan Wiktor unosząc ku niej swoje błękitne oczy i otwierając usta, a pani Hyrmanowa pochyliwszy się opuściła w nie cieniutki płatek szynki, pozwalając delikatnie ugryźć się w paluszki.

Pan Hyrman widząc to wziął cytrynę i rozgniół ją na łbie świni.

— A więc co jeszcze zjemy, moi panowie? — zapytała głośno pani rzeźnikowa.

— Jeszcze raz paróweczki!

— A mnie troszkę więcej chrzanu!

— Mnie zaś chrzan z musztardą!

— Ja poproszę o szynkę — oświadczył agent pan Tolek Uhde, elegant z różą w ręku i płaszczem zarzuconym na ramiona.

Pani rzeźnikowa oddaliła się na zaplecze, agenci towarzystwa ubezpieczeniowego zaś spoglądali poprzez asparagus i nad łysą głową pana Hyrmana na plac,

gdzie od kolumny dziękczynnej z czasów zarazy zbliżała się na rowerze jakaś niewiasta, wioząc na kierownicy ogromny wieniec pogrzebowy ozdobiony kolczastymi liśćmi i fioletowymi wstęgami, które pęd powietrza rozwiewał szeroko. Niewiasta jechała z uniesioną brodą: zmuszały ją do tego kolczaste liście berberysu.

— A cóż to tam na tej wstędze wypisano? — zainteresował się pan kierownik i podążając w stronę wystawy, strącił z krzesła agenta Tolka Uhdego, który upadł na wznak, pan kierownik zaś przeszedł nad nim, kopnąwszy go lekko w głowę.

Oparł się o wystawę, rozgarnął gałązki asparagusa i zaczął się śmiać, tak że łzy kapały na wierzch dłoni klęczącego na wystawie pana Hyrmana.

— W południe zamykamy — powiedział rzeźnik i chwyciwszy wieprzowy łeb rozdarł go na dwie połowy.

— Małżonka pańska nas zaprosiła!

Kierownik od razu wytrzeźwia!

— Co za idiotyczne dowcipy! — denerwował się Tolek.

— Wiecie, panowie, co tam było napisane? — Kierownik odwrócił się. — Tam było napisane: „Śpij spokojnie”, „Śpij słodko” — oznajmił i czknął. — Któż to mnie tak wspomina? — rozmarzył się.

— W jakimś sraczu wodę spuszczone — mruknął posepnie Tolek otrzepując swój płaszcz.

— Ach, mój Boże, pan agent taki małostkowy — westchnął kierownik i podniósłszy z podłogi różę posolił ją, popieprzył, ugryzł kawałek, po czym sprawdziwszy smak, chrupał ją wesoło, zachwycając się przy tym:

— Jaka przekąska? Znakomita! Oczywiście, nie zawadziłoby kilka kropli worcesteru. Ale porozma-

wiajmy! Panie Bucefale, dzisiaj mija tydzień od chwili, kiedy wzięliśmy pana na próbę w teren, a ja nadal nie wiem, dlaczego właściwie zwolniono pana z „Usług Kościelnych”.

— Bo się pokłóciłem z proboszczem.

Pani rzeźnikowa nadchodziła niosąc talerze z parówkami na gorąco.

— Pokłócił się pan z proboszczem? — zdziwiła się.

— A z proboszczem! Z powodu świętej Tereski — powiedział pan Bucefał.

— A ta musztarda to „Z proboszczem”? — spytał pan Wiktor.

— „Z proboszczem” — odparła ocierając oczy, z których chrzan wyciskał jej łzy.

Agenci bezwstydnie zaglądali jej w dekolt i ze znawstwem kiwali głowami.

Pan Hyrman wszedł do sklepu. Oczy miał malutkie, a uszy stulone jak koń, który gryzie. Zniknął na zapleczu, a gdy się stamtąd wynurzył, niósł w ręku pręt do opuszczania markizy. Zatrzymał się przy asparagach. Był tak potężnie zbudowany i ramiona miał takie szerokie, że w sklepie od razu pociemniało.

— Muszę opuścić markizę — oświadczył wychodząc na chodnik.

— Z powodu świętej Tereski? Proszę nam to opowiedzieć! — zachęcała pani rzeźnikowa. Wzięła krzesło i uklękła na nim trzymając się poręczy. Śmiała się ciągle, kiedy zaś zaczęła huśtać się na krześle, spódniczka uniosła się odstawiając krągłe kolanko. A pani Hyrmanowa patrzyła w sufit i kołysała się, kiedy zaś wracała z pochylenia do pozycji pionowej, piersi jej sterczały niczym dwie głowy cukru.

Agenci nie mogli ukryć zachwyty.

Pan Wiktor Tuma, który płacił już alimenty dwom kobietom i zazdrosny był o każdą niewiastę w ciąży — nie dlatego że jest w ciąży, ale dlatego że to nie on jest sprawcą tego stanu, odstawił talerz z parówkami i jako katolik złożył ręce, aby w tym większym skupieniu podziwiać urodę tego niezwykłego cudu natury.

Pan Hyrman trzymał się prętu do opuszczania markizy i cierpiał ze strachu na myśl, co też jego małżonka zdoła jeszcze wymyślić.

— A więc, łaskawa pani — pan Bucefał przełknął ślinę — musi pani wiedzieć, że takie kościelne figurki są niewiarygodnie kruche i delikatne. Jak ta paróweczka. Przywożę pewnego dnia Tereskę z gipsu do Zbyszyna. Otwieram skrzynię ciężarówki i patrzę: figurka ma odtrącone ręce.

— Ręce? — śmiała się pani rzeźnikowa. — A co na to ksiądz proboszcz?

— Proboszcz załamał ręce. „Księżę proboszczu — powiadam — skoczę do drogerii po funt gipsu i przyklepię jej te ręce tak jak w szpitalu”.

Ale wielebny ksiądz proboszcz uparł się i wciąż swoje: nie i nie! Że chce mieć zdrową Tereskę.

— Co pan mówi? Zdrową? — śmiała się pani rzeźnikowa.

— Musiałem więc zabrać figurkę z powrotem — ciągnął pan Bucefał. — Załadowałem inną i przywiózłszy ją do tego Zbyszyna, postawiłem na schodach, a sam poszedłem z kwitem do kościoła. Na ostatnim stopniu stał ksiądz proboszcz i spoglądał mi nad głową... Odwróciłem się, a tu jakiś tępy fajtłapa...

— Proboszcz? — zaśmiała się pani rzeźnikowa.

— Nie, jakiś tępy fajtłapa, chłopiec, jadąc na rowerze zaczął kierownicą o figurkę... Już, już miała

runąć, kiedy skoczył proboszcz i w ostatniej chwili podtrzymał świętą Tereskę. „Niewiele brakowało — mówi — a musiałyby pan jechać po Tereskę po raz trzeci!” I nadepnął mi na odcisk, a tego nie powinien był robić! „Chociaż jest tu ksiądz namiestnikiem bożym — powiadam — po odciskach mi ksiądz deptać nie będzie!” I popchnąłem figurkę. Upadła i rozstrzaskała się na drobne kawałki. Wielebny ksiądz posłał na mnie skargę, a „Usługi Kościelne” wiedziały już, co zrobić. I w ten sposób stałem się agentem „Spokojnej Starości”. Czy ma pani jeszcze odrobinę chrzanu?

— Zaraz przyniosę — powiedziała pani rzeźnikowa. — Da pan wiarę, że kiedy miałam siedemnaście lat, chciałam pójść do klasztoru?

— Do męskiego? — spytał pan kierownik.

— Dzisiaj to tak... ale wówczas byłam pobożna... Jeszcze jak! Ale tatuś umarł i musiałam wymienić różaniec na rzeźnicki nóż. Ach, proszę panów, tymi rączkami potrafię kroić szyneczkę tak cieniutko... — rozmarzyła się pani Hyrmanowa i przestała się huścić, po czym postawiła nogę na posadzce, ale uniesiona spódniczka pozostała wciśnięta między uda nad kolanami, co widząc pan Hyrman pokręcił głową, tak że złoty kolczyk błyskał mu w muszli ucha niczym mosiężna kropka nad znakiem zapytania. I broda mu opadła.

— Czy aby się panu coś nie stało, sąsiedzie? — spytał pochlebczo kapelusznik Kurka.

— Ach, nic mi nie jest...

— Niech pan nic nie ukrywa. Siedzimy z żoną w sklepie i patrzymy, a tu ona zwraca się nagle do mnie: „Spójrz no, Wilhelmie! Ten Hyrman zrobił się blady na twarzy, zupełnie jak tłuszcz od szynki! Tam się coś dzieje!” — opowiadał kapelusznik.

— A pewnie! Niech no pan tylko spojrzy, sąsiedzie! Mam trzech chłopów w sklepie.

— Pewnie jaka kontrola, co? — ucieszył się kapelusznik.

— Diabła tam! — kłamał pan Hyrman. — Przyszli i zażądali sztucców i przypraw, bo wędlinę przynieśli ze sobą. Boję się tam iść, bo jeszcze bym nie wytrzymał i coś zrobił.

— A ten czwarty?

— Przyniósł sobie trzy jajka w papierowej torebce i polecił, abym mu je ugotował, bo ma dietę. A kiedym mu je gotował, stanął mi za plecami i podnosząc palec pouczał: „Proszę gotować nie za długo. Tylko trzy minuty!”

— Coś straszego! — Kapelusznik nie ukrywał radości. — Od czasu kiedy religia przestała być w szkole przedmiotem obowiązkowym, ludzie okropnie się zepsuli. Żal mi pana bardzo, sąsiedzie — oświadczył pan Kurka i radość już zupełnie jawnie zabrzmiała w jego głosie.

Ruszył w stronę swojego sklepu, ale pośrodku drogi przykucnął udając, że zawiązuje sobie na karkdkę sznurowadło przy bucie, i śmiał się przy tym tak, że łzy spadały mu na czubek trzewika.

— Dobrze mu tak — szepnął.

Pan Hyrman włożył hak znajdujący się na końcu pręta w oczko markizy i pociągnął. Ale markiza zacięła się. Pociągnął raz jeszcze. Markiza nie ustąpiła.

Kiedy rzeźnik spojrział przez szybę wystawy w głąb sklepu i zobaczył, że jego żona wciąż jeszcze stoi z uniesioną spódniczką, jakby przechodziła w bród rzekę, nie wytrzymał i pociągnął z całej siły. Hak wysliznął się z oczka i pan Hyrman przebiegł tyłem

chodnik, a potem drobnymi kroczkami cofał się coraz dalej, czując się tak, jakby miał na plecach dwupudowy worek cegieł, ciało jego bowiem zdradzało niepohamowaną chęć wykonania salto mortale do tyłu... Pan Hyrman przebierał pospiesznie nogami starając się w ten sposób zapobiec grożącemu upadkowi; trzymał się pręta do opuszczania markizy i przeciwstawiał siłom, które pragnęły, aby on, właściciel prosperującego znakomicie sklepu rzeźniczo-masarskiego, runął plecami na bruk.

Dwie niewinne uczennice z przedsiębiorstwa „Lidia, wytwórnia staników i gorsetów” siedziały na ławeczce przy kolumnie dziękczynnej pożywiając się w porze obiadowej chlebem. Gdy spostrzegły, że pan Hyrman toczy się tyłem w ich stronę, wstały i szybko — jedna z jednej, druga z drugiej strony — ujęły ławeczkę i usunęły ją z drogi, którą w chwilę później przeleciał pan Hyrman.

— Dzień dobra, panie szefie! — Ukłoniły się i usiadłszy na ławeczce jadły nadal kanapki, które mamusie przygotowały im na obiad.

Pan Hyrman przebił ogromny plakat, na którym pismem technicznym wypisano, że wszyscy mieszkańcy proszeni są o przybycie na „Wielką Noc Wenecką”... Przełamał podtrzymującą plakat konstrukcję z listew i upadł na plecy. Nogi przewinęły mu się, tak że kopnął się noskiem buta w czoło i uderzył karkiem w ogrodzenie z lanego żelaza.

Kapelusznik — pan Kurka — przemierzył biegiem plac, rozsunął przedarty papier i spytał:

— Bardzo się pan uderzył w głowę, sąsiedzie?

Pan Hyrman usiadł; z niedowierzaniem dotykał swojego ciała.

— Całe szczęście, że nie widziało tego zbyt wiele ludzi — pocieszał pan Kurka.

Pan Hyrman ukląkł, wstał, podniósł pręt do opuszczania markizy i zamierzał odejść.

— Boli?

— Jeszcze jak! — poskarżył się pan Hyrman.

— Nie wie pan nawet, jak bardzo mi pana żal — współczuł kapelusznik, ale nie potrafił ukryć brzmiącego głosem tonu zadowolenia z cudzego nie-szczęścia i znowu musiał przyklęknąć i zawiązać sobie sznurowadło. A śmiał się przy tym tak, że poślinił sobie kolana, w które mruczał:

— Dobrze mu tak, dobrze!

— Nie chcę się, łaskawa pani, chwalić — mówił w sklepie pan Bucefał — ale gdyby pani złożyła na moje ręce dziesięć milionów, „Usługi Kościelne” dostarczyłyby pani cały kościół... wraz z kluczem. My przecież mamy swoje zakłady, fabryczki, gdzie wyrabia się ambony, warsztaty, gdzie szyje się na miarę szaty liturgiczne, już za osiem tysięcy dwieście koron i pięćdziesiąt halerzy można dostać bardzo piękny ornat, swoje pracownie jubilerskie i kowalskie... — mówił agent, pan Bucefał, a pan Hyrman rozwinął tymczasem markizę i poprzez jej czerwone pasy wniknęło do środka różowe światło.

Rzeźnik wszedł do sklepu, wziął wielką cynową misę, po czym otworzył z chodnika wystawę i chwytając świńskie łby za uszy powrzucał je do misy. Teraz pozostawało już tylko zamknąć wystawę i wrócić do sklepu.

— „Usługi Kościelne! — ciągnął pan Bucefał — mają swoje winnice, swoje piwnice winne i własne wino mszalne... Mają też dwa klasztory żeńskie, gdzie piecze się hostie na użytek całego kraju.

Wszyscy odwrócili się i widzieli, jak rzeźnik wysypał na pieńek wieprzowe głowy i jak następnie wziął jedną z nich, podniósł do góry, jakby wszystkim tą głową błogosławił, po czym położył ją na pieńku i ze znanstwem przeciągnął opuszką palca po ostrzu rzeźnickiego topora. I jak jednym ciosem rozpołowił ten świński łeb.

— Wspaniały cios! — zauważył kierownik podnosząc rękę do czoła.

— A możebyśmy tak już stąd poszli? — spytał pan Wiktor. — Ta scena przy pieńku... Czy aby nie ma ona jakiegoś mrocznego związku z naszym przyszłym losem?

— Małżonek nie jest chyba zazdrosny! — szepnął pan Bucefał.

— Ależ panowie! — wykrzyknęła dźwięcznie pani rzeźnikowa. — Cóż panowie sobie myślą? Franeczek i zazdrość! Nie ma przecież powodów! Franeczku, prawda, że nie jesteś zazdrosny?

Pan Hyrman ujął łyżkę, spojrział na agentów, po czym zaczął z otworu w czaszce wybierać mózdzek wieprzowy i ciskać go gniewnie do porcelanowej misy.

— Jakoś okropnie łupie mnie w głowie — powiedział pan kierownik kładąc dłoń na przedziałku.

Rzeźnik ujął kartkę z ceną na zaostrzonym drucie i wbił ją z mózdzek na misie.

Pan Bucefał wstał, podszedł do pieńka i spytał:

— Mistrzu, czy to prawda, że przy wyrobie takich parówek najważniejsze jest mięso?

Pan Hyrman ułożył na pieńku cztery łby i czterema mocnymi uderzeniami rozplątał wieprzowe czaszki.

— Mięso, mięso! — wykrzyknęła pani rzeźnikowa. — Najważniejsze, proszę panów, są przyprawy, mięso

to tylko ingrediencja. Panie Wiktorze, a co pan najbardziej lubi?

— Że też się pani pyta! — szepnął.

— Ach, tak! — Zaczerwieniła się. — Mam na myśli: co oprócz tego? Co pan najchętniej jada?

— Kiełbaski winne.

— A więc, proszę panów, zrobię panom prawdziwe kiełbaski winne z wody, tak że się na tym nie pozna nawet specjalista od wodociągów. Woda to dar Boży... — uśmiechnęła się. — Jeśli panowie nie wierzą, proszę ze mną na zaplecze. Panie Bucefale, a jakie firmy dostarczają obrazki święte na odpusty?

— My, łaskawa pani — pochwalił się pan Bucefał i udał się w ślad za swoimi przyjaciółmi na zaplecze, gdzie w półmroku błyszczał błękitny płomyczek kuchenki gazowej niczym fioletowy kwiat ostu — do wszystkich miast odpustowych dostarczaliśmy różańce, kropielnice, takie kryształowe kule z cudownym obrazem Marii Panny, i te malutkie Dzieciątka Jezus z Pragi, *Bambini di Praga*, jak je nazywają — dodał pan Bucefał spoglądając z mrocznego zaplecza przez jaśniejące okienko na podwórze, gdzie w ostrym blasku słońca stała maszynka do mielenia mięsa na wędliny i gdzie złotozielone muchy pstrzyły resztki cuchnących wnętrzności.

— A co pani najbardziej lubi? — spytał pan Wiktor.

— Oprócz tamtych rzeczy... — pani rzeźnikowa spuściła oczy — najbardziej lubię młodziutkie mięso z rosółu... Kiedy podczas świniobicia padnie pierwsze prosiątko, przynoszę pustą bańkę od mleka i ucinam z prosięcia zewsząd po troszku: kawałeczek serca i odrobinę wątroby, ździebko ogonka i głowizny, nozdrza i ucha i zalewam to wszystko litrem wody. Teraz bańkę zamykam patentowym wiekiem i wrzu-

cam do gotujących się kotłów. A potem, kiedy mięso wisi już na hakach, wyciągam bańkę, otwieram, zlewam bulion do filiżanek... a mięso wysypuję na misę i wszyscy jemy i pijemy tę moc i siłę...

— A chleb? — zapytał Wiktor.

— Chleba używamy tylko do wycierania palców. Ale, proszę panów, tu oto kryje się tajemnica naszej firmy, tu są dyplomy uznania i nagrody z wystaw... Szafa pełna przypraw! — wykrzyknęła pani Hyrmanowa otwierając drzwi szafy z mnóstwem przegródek i szuflad.

Pan Bucefał wrócił do sklepu i patrząc, jak Hyrman wybiera łyżeczką mózdzek z wieprzowych czaszek, oświadczył:

— Mistrzu, nie uwierzy pan zapewne, jak tanie są grobowce. Na Olszanach są takie trzy grobowce do kupienia. A marzeniem każdego zamożnego Czecha jest spać spokojnym słodkim snem na olszańskim cmentarzu. Nie interesuje to pana?

— Boję się — przyznał pan Hyrman zezując w stronę zaplecza — że przebudzę się w trumnie.

— Takie wypadki zdarzają się bardzo rzadko — tłumaczył pan Bucefał. — Wystarczy jedno pańskie słowo, i w ciągu tygodnia ma pan grobowiec. Miejsce suche, w pobliżu hydrant, piękny widok przez mur na pola i na gospodę. Jedyna okazja.

— Wie pan — mówił pan Hyrman zeskrobując nożem mózg z pieńka i wycierając go o brzeg misy — ja zawsze pragnąłem mieć grobowiec, a teraz, kiedy tak patrzę na swoją żonę, powinienem pragnąć i życzyć go sobie jeszcze bardziej... Ale skoro sam pan mecenas Główka przebudził się w grobie... Oto co właśnie — prócz mojej żony — zbija mnie z nóg.

Powiedziawszy to rzeźnik wbił nóż w pieńek i wszedł na zaplecze, gdzie jego żona wkładała właśnie następną porcję parówek do bulgocącej wody wołając:

— Szuflady majeranku, pieprzu i papryki, szuflady z nowymi przyprawami i kminkiem oraz imbirem, oto co nam przysparza dobrego imienia, prawda, Franczku? — I postukała palcem w piersi swojego męża, w biały fartuch z niebiesko—czerwonym inicjałem.

— Hm — warknął pan Hyrman otwierając chłodnię.

Na hakach wisiały połówki prosiąt i cieląt niczym ilustracje z „Lekarza domowego” oraz dwa ogromne udźce potężnego wołu.

— Takiego grobowca każdy by panu zazdrościł — kusił pan Bucefał w chłodni.

— Kto mi jednak zaręczy — upierał się pan Hyrman zarzucając sobie z łatwością na plecy jeden z udźców wołowych — że się w tym grobie nie obudzę jak mecenas Główka? Jezu drogi, jak go tam znaleźli! W jakim stanie! Wieko odwalone, mecenas Główka w pozycji klęczącej, z poobgryzаныmi palcami i wąsami, a trumna przewrócona!

— Szczury?

— Jakie tam znowu szczury! — wykrzyknął rzeźnik. — Sam sobie palce i wąsy poobgryzał z przerażenia. Wołę już, żeby mnie spalili! — oświadczył i podniósłszy rękę zdjął ścięgno z haka i kilkupudowy udziec wziął na ramię, po czym opuścił chłodnię, zamknął za sobą drzwi na kontrolne dzwignie i wszedł do sklepu. Kość udowa wołu wtłaczała mu głowę w piersi.

— Wie pan co? — powiedział pan Bucefał patrząc z dołu w twarz pana Hyrmana. — Niech pan zaznaczy w testamencie, aby lekarz przekuł panu serce. W lepszych praskich rodzinach robi się to bardzo często,

a w kręgach arystokratycznych stało się to po prostu zwyczajem.

— Przebić mi serce? — powtórzył pan Hyrman. — To czyni moja własna żona. Proszę tylko spojrzeć.

A pani Hyrmanowa niosła właśnie dymiące parówki i wołała:

— Omalżem nie zapomniała! Proszę panów, przecież dzisiaj mamy tu Noc Wenecką! Przyjdźcie wieczorem, ja będę na barce grać na mandolinie... ach, panie Wiktorze, lampiony, księżyc w pełni... Zapraszam wszystkich panów! A mój mąż będzie grał na ukulele w zespole tamburynistów.

Powiedziawszy to weszła pod udziec wołowy, ujęła męża za rękę i odginając mu jeden palec po drugim zachwycała się:

— Proszę tylko spojrzeć na te jego paluszki. Każdy niczym kielbaska! Jeszcze w zeszłym roku podczas uroczystości grała w rzeźni kapela Kmocha, postawiono rusztowanie, mój Franeczek wszedł na nie, przeprowadzono półtonowego byka, opasano taśmami... I Franeczek tego byczka podniósł... Muzyka grała, tłumy wiwatowały i krzyczały z radości... A dzisiaj, proszę panów, te paluszki jak serdelki będą brząkać na ukulele! A więc przyjdziecie, panowie?

— Panie Hyrman — Bucefał nie dawał za wygraną — ten grobowiec, który wchodziłby dla pana w rachubę, znajduje się tuż obok sławnego czeskiego poety. Łaskawa pani, niech pani powie słówko. Tak taniego grobowca nigdzie już pani nie kupi.

— To byłoby cudowne: spać obok sławnego poety — powiedziała rzeźniczka. — Mój ojciec też był poetą, ach, proszę panów, jakże on potrafił urządzić coraz to nowe festyny i obchody. Naprzód szli w pochodzie

uczniowie w białych fartuchach, dźwigając na misach głowy wieprzowe i podroby, i pasztetówki wielkie jak młyńskie koła, potem kroczyli czeladnicy w białych czapkach i kurtkach w kratkę, niosąc na ramionach nasze godło: srebrny rzeźnicki topór, za nimi dęta orkiestra, po niej zaś sunęli stukilowi mistrzowie — na głowach czapki z szarym barankiem i sokolim piórem, kwiat narodu... ale panowie, na miłość boską, proszę jeść, dopóki paróweczki są ciepłe, proszę bardzo — zachęcała pani rzeźnikowa.

— Panie Hyrman — podjął Bucefał — mam wrażenie, że ten grobowiec będzie pański... Zresztą, mógłbym panu za pośrednictwem „Usług Kościelnych” zainstalować w grobowcu aparat wynaleziony przez pewnego radcę tytularnego, Rosjanina zamieszkałego w Paryżu. Jest to mechanizm, który prowadzi do trumny, do pańskich rąk. Podstawę stanowią druty, które połączone są z urządzeniem alarmowym, tak że gdyby się pan w grobie choćby nieznacznie tylko poruszył, zaraz by na cmentarzu rozległo się bicie w dzwony, a z rury wyleciałyby rakiety, w końcu zaś — na wszelki wypadek i jak ukoronowanie całego tego alarmu — zabrzmiałby wystrzał z działa; bam! bam! — krzyknął pan Bucefał rozkładając ręce.

Pan Hyrman wystraszył się i drgnął. Udziec wołowy zachwiał się i rzeźnik straciwszy równowagę runął na zamknięte drzwi, które pani Hyrmanowa zdążyła w ostatniej chwili otworzyć, tak że mąż wybiegł na chodnik starając się dogonić tę bryłę mięsa, ale punkt ciężkości umykał o pięć metrów przed nim i pan Hyrman przebierał nogami, aby go dopędzić, i raz po raz potykał się i chwiał... był to raczej powstrzymywany upadek niż bieg.

Dwie cnotliwe uczennice z firmy „Lidia” widząc, co się dzieje, strząsnęły z kolan okruszki, po czym uniosły — jedna z jednej, druga z drugiej strony — ławeczkę, na której siedziały, i postawiły ją w bezpiecznej odległości.

— Dzień dobry, panie szefie — wstały i ukłoniły się, kiedy pan Hyrman przelatywał obok.

Wreszcie rzeźnik potknął się na strzępach plakatu, który zapraszał na Noc Wenecką, udziec przeleciał nad nim niczym chmura i przewrócił płótek z listewek wokół kolumny dziękczynnej, ryjąc ziemię i niszcząc krzewy róż.

Poprzez plac biegł kapelusznik, pan Kurka, w samej tylko kamizelce, z pilśniowym kapeluszem w rękę.

— Sąsiedzie — odezwał się współczująco — bardzo się pan potłukł?

— Bardzo — odparł pan Hyrman.

— Patrząc z wystawy i widząc, jak pan leci... ale czy da pan wiarę, byłem przekonany, że utrzyma pan równowagę? Naprawdę boli to pana? — spytał kapelusznik i wyprostowawszy się wyjął z kieszeni szczotkę, którą — dmuchając na pilśniowy kapelusz — zaczął starannie go czyścić.

— Bardzo mnie boli! — poskarżył się rzeźnik.

— Ogromnie mi pana żal! Żona myślała, że trenuje pan na tę Noc Wenecką... Niech więc Bóg pana pocieszy, sąsiedzie — powiedział kapelusznik i ruszył z powrotem, nie umiając ukryć rozbrzmiewającej w głosie nuty radości.

Następny przybiegł pan Bucefał.

— Ale to jeszcze nie wszystko — powiedział uklękawszy. — Główny telefon prowadzi z grobowca do naczelnej administracji cmentarza, skąd natychmiast przybędą grabarze, którzy niezwlekając pana wykopią...

— To ja powinienem był panów wykopać! — Pan Hyrman usiadł. — Wmusiliście we mnie polisę ubezpieczeniową na życie, a teraz jeszcze wmusicie we mnie ten grobowiec, bo i tak go sobie kupię... Proszę spojrzeć, co ta żona mi wyrabia! — Uniósł dłoń i patrzył na swoją połowicę, która jedną ręką podniosła spódniczkę, drugą zaś przygarniała do siebie pana Wiktora, przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego.

— Mojemu tatusiowi zdarzył się zabawniejszy wypadek — mówiła wycierając czystą flanelką ziemię z udźca wołowego. — Tatuś, proszę panów, klęczał właśnie na otwartej wystawie i tak jak mój Franeczek wkładał cytryny do wieprzowych pysków. A obok przejeżdżał akurat samochód ciężarowy. Traf chciał, że temu samochodowi ciężarowemu urwało się przednie koło, które to koło przelatując trąciło właśnie mojego tatusia w tyłek, tak że włożywszy najpierw cytrynę wieprzowi do pyska wraz z tym wieprzem przebił szafę i znalazł się wprost przy pieńku, gdzie mamusia z podniesionym toporem przygotowywała kości cieleńce na zupę.

— I zabiła paninego tatusia? — spytał pan kierownik.

— Nie... ale czy dużo brakowało? Uderzyła go jedynie płazem. Ale, ale, panowie, chodźcie tu, podnieśmy ten udziec wołowy i zanieśmy go do sklepu — powiedziała rzeźniczka.

Przedstawiciele „Spokojnej Starości” stanęli wokół bloku mięsa i pochylili się. Gdy go już ujęli, pan kierownik zawołał:

— Hej rup!

Natężyli wszystkie siły, ale udziec wołowy nawet nie drgnął.

— Ręce się nam osuwają — wyjaśnił pan kierownik.

Kiedy każdy wyjął już chusteczkę, rozkazał ponownie:

— Hej rup!

Ale i tym razem udziec ani drgnął.

Pan Hyrman podniósł się, odtrącił przedstawicieli „Spokojnej Starości”, pochylił się i jedną ręką podźwignąwszy ten udziec browarnianego wołu niósł go niczym deskę kreślarską.

— Widzieliście panowie? — cieszyła się pani Hyrmanowa. — Paluszki ma jak serdelki, ale wieczorem będzie brząkać na ukulele wraz z zespołem tamburynistów. Panie Wiktorze, proszę podać mi rękę i obiecać, że pan na pewno przyjdzie.

— Słyszał pan? — zwrócił się pan Hyrman do Bucefała. — Ta moja kobieta wtrąci mnie do grobu. Niech pan załatwi mi ten grobowiec. I igłę do przebiccia serca!

2

Sklep był ciemny. Na ladzie — niczym makieta zapory wodnej — błyszcząca srebrna kasa.

Pan Wiktor Tuma, przedstawiciel „Spokojnej Starości”, wszedłszy ukłonił się w stronę pracowni, gdzie przy długim stole siedziały cztery dziewczyny, z których każda miała przed sobą garść sztucznych płatków kwiatowych i bieglymi palcami przytwierdzała je do łodyg z drutu.

— Dzień dobry, piękne panienki! A gdzieżecie to podziały swego szefa? — spytał ukłoniwszy się.

Młode robotnice uniosły oczy znad sztucznych kwiatów i odpowiedziały ukłonem. Po czym każda

ukazując czapę włosów pochyliła nos nad garścią bezwonnych kwiatów, które leżały na stole.

— Przy kasie jest dzwonek, proszę zadzwonić! — odezwała się któraś i wszystkie pograżyły się znowu w pracy, jakby haftowały malutką serwetkę albo trzymały za skrzydło żywego, bajecznie kolorowego ptaszka.

Wreszcie na końcu sklepu zjawił się pod żółtym światłem łysy mężczyzna i zbliżał się idąc wzdłuż kiści sztucznych róż, georginii, konwalii, narcyzów i pierwiosnków, które niczym chomąta wisiały na skoblach. Mężczyzna nosił okulary w grubej oprawie, które rzucały mu pod powieki dwa lśniące tureckie półksiężycy. Zatrzymał się przy kontuarze i położył na nim ręce: obie były sztuczne, barwy tytoniu, jak dłonie Matki Boskiej Częstochowskiej.

— Pan Krause? — spytał Wiktor.

— Tak. Czego pan sobie życzy? — Pan Krause nastawił włochate ucho.

— Jestem studentem filozofii i Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego poleciło mi, abym jako przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość” spisał tych wszystkich, którzy chcą zapewnić sobie rentę. Pan minister wyraził życzenie, aby w akcji tej brali udział przyzwoici ludzie.

— Piękna akcja — przyznał kupiec. — Interesuję się rentą. To kwestia ubezpieczeniowo-matematyczna... ale jakąż to filozofię pan studiuje?

Zadając pytanie usiłował nacisnąć mosiężny guzik protezy.

Agent nacisnął guzik i sztuczny palec odskoczył jak kleszcze, tak że pan Krause mógł ująć papierosa.

— Znam ten mechanizm — powiedział pan Wiktor. — Podczas nalotu na Pardubice taka właśnie ręka wisiała na gwoździu na pierwszym piętrze... — wyjaśnił osłaniając dłonią płonąca zapałkę.

Kupiec zaciągnął się dymem.

— A więc jaką filozofię pan studiuje, młody człowieku?

— Metafizykę.

— Piękna wiedza! Ale jaką metafizykę? *Ante rem? In rebus? Post rem?*

— *Ante rem*, idee platońskie.

— Wspaniała wiedza! — Słyszac tę odpowiedź pan Krause wypiękniał, a refleksy soczewek biegały mu po twarzy niczym srebrne rybki. — A więc, młody człowieku, próżniactwo Chaldejczyków i jasny duch Hellady transformowały nam przepięknie mądrość żydowską... ach! I dlatego kocham króla Salomona i ten jego stan pozornego wahania między dwoma biegunami, między *Księgami Ekklesiastes* i *Pieśnią nad pieśniami* — rozmarzył się kupiec mieszając słowa z zapachem tytoniu, a powieka opadała mu coraz to niżej i niżej.

Panowała cisza, tylko ręce dziewcząt w pracowni szeleściły pracą i papieros tchnął dymem, który pod brodą pana Krausego rozwidlał się niby lekarska słuchawka.

— I czy może mi się ktoś dziwić? — podjął po chwili — że ukochałem Filona Aleksandryjskiego, filozofa irracjonalnego i subtelnego jak te moje kwiaty? I czyż może mieć mi ktoś za złe, że najbardziej ubóstwiam Hermesa Trismegista? — wykrzyknął pan Krause i uderzył ręką w krawędź kontuaru, tak że niedopałek papierosa upadł na czarną podłogę.

— To się panu tylko chwali — powiedział pośrednik. — Ale powróćmy do świata zjawisk realnych... Jak wysoką rentę życzyłby pan sobie?

Podał kupcowi papierosa i ogień.

— No tak... — zgodził się kupiec — a kto na długo przed Hermesem wyraził graficznie substrat jego szmaragdowej filozofii?

— Król Salomon i jego pieczęć. Będzie pan miał dziesiątą grupę — mówił pan Wiktor pisząc.

— A czy nie lepiej przyjąć siódmą?

— Istnieje wprawdzie siedmioramienny świecznik — powiedział agent — ale weźmy za podstawę Dziesięcioro Przykazań.

— Doskonale, jest pan bardzo wykształcony, młody człowieku — zachwycił się kupiec. — A co nam mówi znak na pieczęci króla Salomona?

— To samo co Szmaragdowa Tablica — odparł agent i nakreślił ołówkiem w powietrzu dwa przecinające się trójkąty.

Pan Krause zamknął oczy, jakby smagnięto go biczem, po czym obiema protezami uderzył w srebrną kasę, z której wnętrza wyskoczyła brunatna szufladka i dobiegło dzwonienie.

— A jak to wyrazić słowami? — zapytał pan Krause chłodząc sobie czoło o zimny metal kasy.

— To, co na górze, to i na dole. To, co na dole, to i na górze... — deklamował pośrednik.

Ręce młodych robotnic porzuciły pracę, a dwukropki ich oczu pełne były znaków zapytania.

Pan Wiktor patrząc w głąb pracowni powtarzał z wolna:

— To, co jest na górze, jest i na dole, to, co jest na dole, jest i na górze.

I palcem raz jeszcze nakreślił dwa przecinające się trójkąty.

Po bruku miasteczka zbliżał się i wzmagał łoskot, cały sklep drżał: przed wystawą przejeżdżał ogromny kombajn niczym jakiś baśniowy ptak o złożonych skrzydłach; na żelaznym siodelku pod pasiastym parasolem siedział młody chłopak, wsiowy grubas o słomianych włosach, które wymykały mu się spod beretu spadając na ucho jak skrzydło postrzelonej jaskółki; młodzieniec ten śpiewał, kombajn warkotał grożąc, iż lada chwila rozpadnie się na części: miał tego jakoś zbyt dużo na sobie — coś niby sześć młockarni przydrutowanych na grzbiecie lokomotywy parowej.

Ale pan Krause, pogrążony w kontemplacji dwu przecinających się trójkątów, nie słyszał tego kombajnu.

— Oto prawdziwy obraz życia — szeptał.

Wracając powoli do świata zjawisk realnych spostrzegł, że młode robotnice patrzą nań z rękoma złożonymi na podołku.

— Cóż to znowu, moje panny, za co wam płacę? — Wyprostował się i tupnął w próg pracowni. — Do roboty! Do roboty!

I dziewczęta pochyliły się nad sztucznymi płatkami kwiatów, i zręcznymi palcami nienaturalnie szybko jęły przytwierdzać je do sztucznych łądyg.

— Dobry kupiec, posiadający obfite zapasy, wygląda na bankruta — usprawiedliwił się pan Krause.

— Tak, dlatego w ramach swoich kompetencji jestem uprawniony do zainkasowania opłaty za trzy pierwsze miesiące — powiedział agent.

— Kochajmy się jak bracia, a liczymy... — zauważył kupiec.

— Tu proszę podpisać albo narysować swój znak — mówił pan Wiktor podając kopiowy ołówek i wskazując deklarację. — Należy mi się tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt koron.

Pan Krause podpisując się rozdarł papier.

— Nic nie szkodzi — uspokoił go pośrednik.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach i do sklepu weszła dziewczyna w tyrolskim kapelusiku i lodenowym płaszczu. W palcach ścisnęła sztuczny kwiat nenufara wyłaniający się spośród dwóch zielonych liści.

— Niech pan to kupi — zaproponowała.

— Co to jest? — przeraził się Krause.

— Konkurencja — wyjaśnił pan Wiktor.

— Co za wspaniała robota! — ocenił ze znawstwem kupiec. — Powiedz mi, dziecię miłe, kto ten kwiatek zrobił?

— Mamusia i tatuś. A ja, proszę pana, chodzę po świecie i sprzedaję.

— A ile kosztuje ta sztuka?

— Dwadzieścia pięć koron.

— Należy popierać ubogą konkurencję — rozczulił się pan Krause. — Taka piękna młoda dziewczyna, która przychodzi i proponuje mnie, kupcowi handlującemu sztucznymi kwiatami, nabycie sztucznego nenufara... Coś w tym jest, młody człowieku. Czy to nie niezwykle spotkanie? Wszakże ta dziewczyna to chodzący znak króla Salomona, maszerująca Szmaragdowa Tablica, mój żywy los, który przyszedł mnie kusić... — mówił kupiec i protezą niczym maszyna drukarska odliczał na kontuarze stukoronowe banknoty: dziewiętnaście setek, które pośrednik przeliczył, a następnie starannie włożył do portfela.

— A tu, miłe dziecko, ma pani dwadzieścia pięć koron i proszę mi ten kwiatek umieścić w wazonie na wystawie.

Dziewczyna z kwiatem nenufara weszła na wystawę. Na jej ramionach ukazał się plecak o zielonych pasach. Odwróciwszy się spojrzała na pana Wiktora i stanęła w pąsach; zamiast przy szklanych drzwiach szukała klamki na szybie wystawowej.

— Co pani tu robi? — przestraszył się pan Krause.

Dziewczyna wybiegła ze sklepu odtrącając wyciągnięte ku sobie protezy kupca i wypadła na ulicę.

— Jesteśmy niczym oliwki — stwierdził pan Krause ze smutkiem. — Dopiero gdy nas gniołają, wydajemy z siebie to, co mamy najlepszego... Ale cóż robić? Młody człowieku, kiedy pan znów będzie w tym miasteczku, proszę nie zapomnieć odwiedzić człowieka, który wprowadzie swoje książki handlowe prowadzi tak, że nie wykazują strat, ale którego ręce na zawsze odcięto od pięknych dziewcząt.

I oddalił się: jego żółta głowa pojawiła się pod deszczem żółtego światła i zniknęła gdzieś na zapleczu — pośród sztucznych róż, georginii, pierwiosnków i narcyzów.

— Do widzenia, piękne panienki — pożegnał się pośrednik, pan Wiktor.

Młode robotnice ukłoniły się i dotknęły czołami piętrzących się przed nimi sztucznych płatków.

Pan Wiktor wybiegł na ulicę, rozejrzał się, stanął na palcach, po czym chciał nadepnąć na maskę samochodu osobowego, ale właściciel wychylił z okienka głowę i krzyknął:

— Niech no pan tylko spróbuje!

Przy latarni ulicznej stała przypięta łańcuchem drabina; agent wspiał się po szczeblach aż pod lampę i trzymając się jej, rozglądał się wokół. Dziewczyny z nenufarami nigdzie jednak nie było.

Zamiatacz miejski, potężne chłopisko w kombinezonie, cały w kurzu, porośnięty kłakami niczym kaktus, długimi ruchami miotły zmiatał bruk uliczny, gwizdząc powolną frazę symfonii... Właśnie przerwał zmiatanie, oparł się plecami o drabinę przy latarni i głośno się uzałił:

— Ależ ci ludzie są głupi! Straaaasznie głupi! O rany, jacy głupi!

Pan Wiktor schodząc po drabinie postanowił nogę na głowie zamiatacza. Zamiatacz namacał bucik, później kostkę. Podniósł więc oczy i popatrzył w nogawki.

— Człowieku, skąd pan idzie?

— Z nieba.

— No a jak tam jest?

— Doskonale!

— W takim razie katolicy mają szczęście — powiedział zamiatacz odsuwając się.

I znów ujął miotłę i długimi ruchami niczym metronom zaczął poganiać przed sobą papierki i liście, i obłoczek kurzu.

— Ależ ci ludzie są głupi! Straaaasznie głupi! O rany, jacy głupi! Gdyby wiedzieli, co to jest porządna muzyka! — krzyczał zamiatacz, po czym zaczął gwizdać wybijając sobie takt miotłą niczym metronomem.

— To jest *adagio lamentoso* z *Patetycznej* — zawołał agent, pan Wiktor.

— A ja jestem Wacław Jurzyczka z Piaskowej Woli — przedstawił się zamiatacz gwizdząc dalej i nadal gnając przed sobą kurz, papierki i zwiędłe liście z jednej ulicy na drugą...

Przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość” ruszył następnie wzdłuż płytkiego potoczku doprowadzającego wodę do młyna, potoczku, w którym kąpały się gołe dzieci, opryskując się nawzajem i piszcząc z radości. Kilkoro sinofioletowych maluchów z rękoma pod brodą szczękało zębami pod kocem. Ogródki przy domkach schodziły nad strumyczek, gdzie kobiety myły sobie nogi. Jedna z nich leżała w płytkiej wodzie i kiedy podniosła się, fartuch wcisnął się jej w rowek między pośladkami.

Pan Wiktor szedł jednak dalej, do wysokiego gmachu browaru, do którego był przyklejony domek sędziwego bednarza pana Kociątko. Przy murze stały wyrównane starannie płyty bukowej i dębowej sklejk.

Gdy pośrednik wszedł do warsztatu, który był jednocześnie kuchnią, bednarz siedział na bednarskim zydelku i ośnikiem wygładzał kawałek drewna. Miał na sobie kożuszek, chociaż przez okno dobiegała od potoczku radosna wrzawa kąpiącej się dzieciarni.

— Pan nazywa się Kociątko i pisał pan do nas w sprawie renty — powiedział pan Wiktor siadając.

— A pisałem — przyznał bednarz. — Tylko że nie wiem, czy mnie przyjmiecie... jestem już bardzo stary... i przyszłość napelnia mnie lękiem... — Bednarz odkaszlnął. Za nim na ścianie błyszcząły siekiery i ośniki, na oknie stało kilka kufli, a na podłodze wśród wiórów i trocin — dwa nie dokończone cebry.

— „Spokojna Starość” po to właśnie istnieje — oświadczył agent kładąc na stole blok z deklaracjami. A kiedy wzrok jego zatrzymał się na starym gramofonie z tubą przypominającą kwiat powoju, dodał: — Proszę mi coś zagrać!

— Ależ proszę bardzo — powiedział bednarz kręcąc korbą. — Tę płytę bardzo lubił mój wnuk, jedyna podpora mojej starości.

— No, wcale nie jedyna — sprostował pan Wiktor. — Dla rzemieślnika jedna jest tylko podpora. Szczęśliwa i zabezpieczona starość... Renta... Dlatego właśnie przyszedłem... Ale tu jakoś dziwnie świeże powietrze!

Bednarz opuścił igłę i rozległa się niezwykła orkiestra dęta.

— To, proszę pana, gra Pejpus Kapelle z monachijskiej piwiarni, a ten kawałek nazywa się „Fidele Gesellschaft”. Biedaczek, mój wnuk, bardzo to lubił. Wie pan, on się wyuczył na stolarza i pewnego razu, kiedy ciął deskę piłą tarczową, noga mu się osunęła i przeciął sobie głowę aż do szyi... Ilekroć otrzymał wypłatę czy zaliczkę, przynosił buteleczkę rumu mówiąc: „Macie tu, dziadku, i niech się wam dobrze wiedzie!” I puszczałyśmy proszę pana, tę płytę. Słucham?...

— A jak wysoką chciałby pan otrzymywać rentę? — spytał agent.

— No, tak osiemset koron miesięcznie... tysiąc...

— A więc niech będzie tysiąc koron. Kociątko Wilibald... ale co to za płyta? Słysząc tam także głosy gości. I ktoś woła: „Herr Ober!”

— Taki jest, proszę pana, zwyczaj w Monachium. Pracowałem tam w Augustinerbrauerei. Piwo się tam rozwozi platformami zaprzężonymi w woły, a każdy wół ma na końcu rogu mosiężną kulę... Ach, cóż to był za piękny widok, gdy spotkało się taką platformę z piwem zaprzężoną w woły z mosiężnymi kulkami na rogach... Co proszę?...

— Niech pan tu podpisze — powiedział pan Wiktor i podniósłszy się zacierał ręce. — W ramach

swoich uprawnień mogą zainkasować za pierwszy trzy miesiące...

— Ile? — przestraszył się bednarz.

— Siedemset pięćdziesiąt koron. Pięćdziesiąt koron to wpisowe... — wyjaśnił pośrednik i raz jeszcze opuścił igłę, dokręcił sprężynę i nasłuchiwał, jak w tubie przypominającej ogromny kwiat powoju Pejpus Kapelle gra w monachijskiej piwiarni „Fidele Gesellschaft”.

— A więc już podpisałem — oświadczył bednarz i po wiórach podreptał w stronę kredensu; przyniósł stamtąd książeczki do nabożeństwa i rozłożył je na stole szukając pośród świętych obrazków stukoronowych banknotów, które potem zaczął układać na stole.

— Mam sporo pieniędzy u ludzi — usprawiedliwiał się staruszek i odstawiwszy na miejsce książeczki do nabożeństwa, przyniósł garnuszki ze złotą bramą jubileuszowej wystawy w Pradze, wysypując na stół ich zawartość. Były to monety, które bednarz liczył, i każdą dziesiątkę stawiał przed sobą niczym komin.

Od potoczku słychać było wrzawę, pluskanie wody i śmiech.

Policzywszy wszystkie monety bednarz podniósł oczy z poczuciem winy.

— A teraz przeliczę to, co mam w szafach — usprawiedliwiał się. — Proszę się nie niepokoić...

Otworzył szafę i sprawdzał zawartość jednej kieszeni po drugiej.

— Skąd tu u pana takie zimno? — Agent zadrżał.

— Bo, proszę pana, tu do mojego domku przylega chłodnia browaru, tuż za plecami mamy górę lodu na wysokość czterech pięter... Teraz to nic, ale kiedy dzieci były małe, najgorzej bywało w lecie. Chodziliśmy spać w ubraniach i szczękaliśmy zębami, a jednocześnie

słyszeliśmy, jak młodzież kąpie się i śpiewa w księżycowe noce... — opowiadał staruszek, przynosząc pomięte banknoty na stół, gdzie rozkładał je i wygładzał rożki.

— Proszę się nie gniewać, ale to jeszcze nie wszystko — powiedział sięgając do kieszeni spodni, które miał na sobie, i wyciągając pugilares. Kiedy wysypał wszystkie pieniądze i przeliczył je, zostało mu jedynie dwie korony.

— Jeślibym wspiął się na drzewo, to tu na ziemi miałbym do obejrzenia tylko te dwie korony — zaśmiał się bednarz.

— Ale za to ma pan rentę — zauważył pan Wiktor, przeliczając trzydzieści stosów koron.

— Jestem bardzo zadowolony — dziękował bednarz — bo cały czas drzę na myśl o przyszłości... Kto mi co da, kiedy ta ręka nie utrzyma już nawet ośnika? No kto?

— Wszystko w porządku. Tu pan ma oryginał deklaracji, a resztę otrzyma pan za pośrednictwem poczty — powiedział oschle agent, pan Wiktor Tuma, i podawszy staruszkowi końce palców, wyszedł.

W chłodzie pozostawił gramofon, z którego tuby podobnej do ogromnego kwiatu powoju płynęły dźwięki „Fidele Gesellschaft” z monachijskiej piwiarni, i zmierzał wprost ku potoczkowi, skąd dobiegało pluskanie wody i radosny gwar nagich dzieci.

3

Karuzela stała na samym skraju terenu Nocy Weneckiej. Z jej wnętrza katarynka miotała na wszystkie strony szaloną muzykę przypominającą obrazy nimf

i najad, jakie zdobyły obudowę karuzeli. Cała jej konstrukcja przyozdobiona była kolorowymi żarówkami i kiedy karuzela nabrała szybkości, siedzenia unosiły się nad rzeką, tak że jeżeli ktoś się wychylił, widział, jak belki i wsporniki karuzeli krają toń, w której odbija się krąg ludzkich nóg, łańcuchów i twarzy, bo nad wodą wszystkiego jest dwa razy tyle.

Agent pan Wiktor Tuma obejmował dziewczynę z nenufarami, przerzucił ją aż za siebie i łańcuszki ich splątały się. Następnie mocnym ruchem pchnął ją z błękitny cień nocy... i siedzenie powróciło, dziewczyna odwróciła się, wyciągnęła rękę w tył, pan Wiktor wysunął ramię do przodu, jeszcze kawałeczek, jeszcze... i palce ich szepiły się, agent przyciągnął dziewczynę, gwałtownym ruchem ściągnął ją za siebie, chwilę przytrzymał szepcząc do ucha czule słówka i znowu wyrzucił ją w przestrzeń, tak daleko, jak tylko pozwalala siła odśrodkowa i łańcuchy karuzeli, sam zaś niemal stanął w miejscu. W tej chwili wpadł do niego pan kierownik „Spokojnej Starości”, który zajmował siedzenie tuż za nim.

— Musisz tę dziewczynę przerznąć! — zdążył mu szepnąć, zanim wypchnął Wiktora w przestrzeń.

Unoszony kopniakiem w górę Wiktor przymknął oko.

Właściciel karuzeli zadzwonił, przesunął dźwignię na maksymalną szybkość: łańcuchy i siedzenia jeszcze bardziej oddaliły się od zdeptanej łąki, a twarze jadących defilowały po obwodzie koła poza granicą światła żarówek i błękitnego cienia nocy niczym ogromne łożysko kulkowe.

Dziewczyna z nenufarami drżała na myśl, co by to było, gdyby urwało się siedzenie, które zajmuje,

i dokąd by poleciała. Być może — aż na środek rzeki, gdzie roztrzaskałaby odbicie księżyca... ale kto wie, czy nie spadłaby wprost na barkę płynącą bezszelestnie, ozdobioną kolorowymi lampionami, wiozącą przygrywający rzewnie zespół tamburynistów... Z pewnością przebiłaby dno barki i lampiony by cicho pogasły... Ale co by było, gdyby siedzenie z nią urwało się i siła odśrodkowa rzuciła ją na brzeg, na płócienny dach straganu ze słodyczami? Albo gdyby doleciała aż na strzelnicę, wprost na figurki z blachy, wprawiając w ruch wszystkie ukryte sprężyny, tak jakbyś trafił w sam środek tarczy? Albo gdyby wraz z tymi łańcuszkami wylądowała przewracając budkę z człowiekiem z białym fartuchu, który na patyczki nawija różową watę cukrową? Albo gdyby poleciała jeszcze dalej i wpadła do kadzi, w których chłodzą się butelki piwa i wody sodowej?

Ale właściciel karuzeli uderzył na podzwonne tym możliwościom, zwolnił szybkość i łańcuchy karuzeli zwierały się z wolna, tak jakbyś zamykał pomału parasol... Wkrótce kilka par podeszew zaczęło ocierać się o deski podłogi i karuzela się zatrzymała.

— Kręci mi się w głowie — powiedziała dziewczyna.

— Na taką dolegliwość najlepszy kieliszek — proponował jej pan kierownik.

A kiedy już stali pod daszkiem baru i siorbali słodki likier, pan kierownik zagaił:

— No i jak idą interesy?

— Kiepsko, ludzie mało kupują — odparła.

— Ale!... Cholerne komary! — Pan kierownik oganiając się rękoma, chlusnął kminkówką prosto w twarz panu Tolkowi Uhde.

— Pardon — przeprosił pan kierownik i już rozwiązywał plecak dziewczyny, śmiejąc się przy tym

aż do łez, po czym wyjął jeden kwiat sztucznego nenufara owinięty w celofan.

— Trzymają się pana głupie żarty — wymyślał pan Tolek wycierając sobie z oczu lepki likier.

— A więc panno?...

— Urszula Krasieńska — ukłoniła się i zarumieniła.

— A więc panno Urszulko, jakże to możliwe, by taki piękny artykuł nie znajdował nabywcy?

— Pewnie nie umiem sprzedawać — dziewczyna zarumieniła się jeszcze bardziej.

— A ile kosztuje ta sztuka?

— Dwadzieścia pięć koron — powiedziała odstawiając pusty kieliszek.

— Panie szefie! Jeszcze raz to samo! — zamówił pan kierownik.

— A panowie co sprzedają? — zapytała.

— Ja i moi przyjaciele oferujemy ludziom szczęśliwą przyszłość — odparł pan kierownik.

— Aha! — Uśmiechnęła się. — Sprzedajecie horoskopy.

— Nie. Proszę zgadnąć.

— No to akty strzeliste. Albo wróżycie ludziom z ręki.

— Także nie; pan Wiktor to pani wyjaśni — oświadczył kierownik podając dziewczynie kieliszek kminkówki.

— Panno Urszulko, my oferujemy ludziom złudzenie: rentę. Rzemieślnicy otrzymują kawałek papieru, a nam dają za to forszę. A skoro wierzą, że to, co im powiedzieliśmy, jest prawdą, mają przed sobą szczęśliwą przyszłość — powiedział pan Wiktor strzelając wzrokiem wprost w oczy dziewczyny z nenufarami.

— To panowie sprzedają nadzieję? — spytała.

— Tak! — przytaknął pan Wiktor. — Tak jak Chrystus Pan, kiedy zabawiał się w komiwojażera i odwiedzał klientów wokół Jeziora Genezaret z artykułem: Wiara, Nadzieja i Miłość... Tak właśnie i my... Ale chodźmy się przejść tą Wenecką Nocą.

— Piękny macie, panowie, zawód — stwierdziła dziewczyna.

— Tak — zgodził się pan kierownik i wzięwszy sztuczny kwiat zaczął się przedzierać poprzez płynący tłum wołając:

— Ostatnia nowość z Paryża na wasze stoły! Sztuczny kwiat nenufara, który przyozdobi wasze mieszkania. Jedyna okazja!

I wołając obmacywał oczyma ludzkie twarze.

— Ale ten nasz szef ma niemądre dowcipy! — irytował się pan Tolek obwąchując palce. — Śmierzę koprem!

— Ach, jakie to piękne! — dziewczyna zwróciła się do Wiktora wskazując palcem kramik, gdzie stał mężczyzna, który wyjmował z pudełka płaskie przedmioty podobne do gumowych rękawiczek, nakładał je na butlę z wodorem, odkręcał kurek i spod palców wyrastał mu piękny kolorowy balonik. A potem wystarczało już tylko kilka szybkich ruchów, i balonik unosił się aż tam, dokąd pozwalał mu niewidzialny sznurek... I dzieci odchodziły z barwnymi balonikami uśmiechając się ze szczęścia. A sklepikarz pod acetylenową lampą produkował wciąż nowe i nowe baloniki.

Zbliżył się pan kierownik prowadząc za rękę jakąś kobietę.

— Urszulko — odezwał się — ta pani życzy sobie dwa nenufary.

I rozwiązał plecak wyjmując dwa sztuczne kwiaty, i już wkładał je do torby pulchnej niewiasty, która broniła się niepewnie:

— A jeden nie wystarczy?

— Dwa, dwa! — wołał pan kierownik. — To tak samo, jakby kupiła pani sobie szczeniaka. Wygodniej kupić dwa, ponieważ dwa szczeniaki lepiej żrą. Należy mi się pięćdziesiąt koron.

Kobieta wyjęła portmonetkę, ręce jej drżały, więc pan kierownik powiedział:

— Pozwoli pani? — I wziął portmonetkę, wyjął z niej pięćdziesięciokoronowy banknot, wręczył go Urszuli i włożył portmonetkę kobiecie do kieszeni, po czym zdjął plecak z ramion dziewczyny, jeden nenufar wziął do ręki i przedzierał się przez tłum wołając:

— Kupujcie ostatnią nowość Wiednia, sztuczny nenufar, praktycznie niezniszczalny sztuczny kwiat, który można kąpać... i dlatego zawsze jest świeży...

— Ja też chciałabym jeden... — poprosiła dziewczyna.

— Ten kwiatek? — spytał pan Tolek.

— Nie, tamten balonik...

— W jakim kolorze? — spytał pan Wiktor.

— Zielony.

— Nadzieja w kolorze szczypiorku — skomentował pan Wiktor.

Tolek sięgnął do kieszeni i ruszył w stronę baloników, niesionych przez uszczęśliwione dzieci, kupił zielony balonik, lecz kiedy prowadził go na sznurku i kołysał nim, nagle zastygł w bezruchu. Poczł uderzenie kamieniem w skroń. Stojąc czuł, jak tryska mu krew, i widział, jak dwóch chłopców ucieka poprzez półmrok Weneckiej Nocy ku wierzbom nad rzeką.

— Ci gówniarze wciąż mi tu dokazują — poskarżył się sprzedawca. — Ciesz się, kiedy im się uda ustrzelić z procy balonik jakiemuś dzieciakowi... A pana trafili w głowę, co?

— Całe szczęście, że mi nie wybili oka — powiedział pan Tolek przykładając chusteczkę do ranki od kamienia.

Następnie podał balonik dziewczynie z nenufarami, którą pan Wiktor ujął pod ramię, i poszli w stronę huśtawek, na których dwie kobiety tak się huśtały, że właściciel huśtawek krzyczał: „Hohoho!”, i przyciskał dźwignię hamulca, aż drzazgi leciały z deski. Ale obie kobiety miały tyle siły, że na zmianę unosiły się aż do pozycji poziomej niczym powiewające sztandary. Raz jedna z nich przysiadła i spadała z łódką w dół, by natychmiast wystrzelić w górę, podczas gdy druga wyprostowana pozwalała się unosić i wstępowała w niebo, uderzając niemal głową w błękitny firmament. A potem role kobiet zmieniały się, łódeczka mknęła ku przeciwfazi, aby z kolei ta pierwsza niewiasta unosiła się wyprostowana ku niebu i przesłaniała głową kilka gwiazd. A rozpuszczone włosy obu kobiet bądź rozwiewały się do tyłu, bądź też przysłaniały twarze, tak że miały na przemian albo płomień włosów za sobą, albo też zakryte nimi oczy...

Nadchodził pan kierownik, już z daleka unosząc do góry pusty plecak. Pełnymi ustami chrupał orzeszki arachidowe.

Włożył dziewczynie pasy na ramiona i podał pieniądze.

Łuskał w palcach orzeszki i sypał łupiny Tolkowi do kieszeni płaszca. Nagle roześmiał się parszkając Tolkowi w twarz okruszynami, po czym ujął go pod

ramię i poprowadził w kierunku straganu, nad którym płonęła ogromna tarcza; na jej wycinki składały się wszystkie podstawowe kolory. Nad tarczą błyszczał barwny napis: TĘCZA.

Młoda blondynka wołała:

— Czy wiecie, panowie, co to jest uniwersalny odplamiacz marki „Tęcza”? To niezastąpiona pomoc w gospodarstwie domowym! — Trzymała w palcach tubę ze środkiem do wywabiania plam i potrząsała nią.

— Rzeczywiście głupie żarty się pana trzymają! — powtórzył pan Tolek, zakrwawioną chusteczką wycierając sobie z oczu kawałki orzeszków.

— Tu masz pan lekarstwo! — powiedział z zadowoleniem kierownik wsuwając Tolkowi do kieszonki stukoronowy banknot, po czym rozejrzał się po Weneckiej Nocy, popatrzył na księżyc nad wodą, tam gdzie rzucał *arpeggio*, i oświadczył: — Taką noc po prostu kocham. To piękne uczucie, panie kolego, że się jest, że się istnieje na świecie...

Dziewczyna, która przy stoliku wyjaśniała, jak się należy obchodzić z odplamiaczem marki „Tęcza”, wykrzyknęła:

— Oczywiście, miłe panie, są takie plamy, których nie można wyczyścić bez naruszenia osnowy materiału.

— Dziękuję panu! — Dziewczyna z nenufarami pochylała się i zielony balonik oblizał jej twarz. — Sprzedawałabym je chyba z tydzień. Jak pan to robi?

— Bo to trzeba umieć — nie bez dumy oświadczył pan kierownik. — W Kolinie dwudziestu krawców wystąpiło ze skargą przeciwko mnie, że deklarację „Spokojnej Starości” podpisywali jakby w stanie snu hipnotycznego. Musiałem więc zabrać głos i tak się broniłem, że nie tylko tych dwudziestu krawców

odwołało oskarżenie, ale jeszcze na korytarzu załatwiłem dwu asesorów, biegłych... A w ogóle to już w chwili kiedy ujmuje pani kłamkę, musi pani być skupiona, zdecydowana... i jak najkrótszą drogą wyrzucić na nich presję psychiczną, aby podpisali i zapłacili... niczym w śnie hipnotycznym. I jak już pani wejdzie do klienta, musi go pani jednym ciosem zwalić z nóg... jak tygrys. Żadnego dialogu! Monolog!

Pan kierownik mówił to wszystko, bardzo z siebie zadowolony. Dziewczyna z nenufarami ukłoniła mu się i w towarzystwie Wiktora odeszła w stronę strzelnicy.

Blondynka wskazywała ogromną tarczę z barwnymi wycinkami wołając:

— Jeśli nie macie państwo możliwości wybielenia swojej bielizny na trawniku, używajcie z pełnym zaufaniem naszego krajowego środka, wybielacza marki „Tęcza”. Oczywiście, jak powiedziałam, są takie plamy, których nie można wyczyścić bez naruszenia osnowy materiału.

— Proszę pani — spytał pan kierownik — ja mam na duszy takie plamy, że ich nie można wyczyścić, ot tak, zwyczajnie... Jak mam się do nich zabrać?

— Tu nasz wybielacz marki „Tęcza” na nic się nie przyda — odparła blondynka. — Jedyne rozwiązanie to posłużyć się scyzorykiem i wyciąć...

— Ależ to by mnie mogło zabić!

— Jak tak na pana patrzę, to wnioskuję, że wielkiej szkody by nie było — zaśmiała się.

— Jak mam to rozumieć?

— Ksiądz dwa razy kazania nie powtarza — śmiała się nadal, przyjmując pieniądze, bo ludzie kupowali tubki z wybielaczem.

Blondynka smętnie patrzyła w dal, skąd dobiegało subtelne brząkanie mandolin, a oświetlona barka płynęła wzdłuż rzeki znikając za krzakami wierzbiny.

— Niektórym to dobrze... — westchnęła.

— A o czymże to pani marzy? — spytał pan kierownik.

— O przejażdżce barką.

— Zapraszam panią.

— A kto to za mnie sprzeda? Miałam mieć w hotelu wykład na temat: „Co to jest «Tęcza»?”, ale ta Wenecka Noc mi w tym przeszkodziła. Rozłożyłam więc swój towar tutaj.

— Słusznie, widać, że z pani prawdziwa prażanka! Ale ile to wszystko razem kosztuje? Dwieście, trzysta, czterysta? — spytał wkładając rękę do tylnej kieszeni spodni.

— Czterysta — powiedziała.

— Oto one, proszę bardzo! A teraz spakujemy to wszystko i... w drogę! Na rzekę! Płukać sobie ręce w księżycowej wodzie! — wołał pan kierownik.

Romantycznie uniósł rękę ku księżycowi. Ale gdy wzrok jego padł na idących ludzi, zgarbił się nagle i ukrył za reklamą „Tęczy”.

— Tolku, miej litość, broń mnie i ratuj. Zbliża się klient, który chyba oszalał — szeptał składając ręce.

— Co mam z nim zrobić? — spytał Tolek.

— Zabierz go dokądś, nie spuszczaaj z niego oka, szczerze ci to wynagrodzę, bardzo szczerze!

Zbliżał się jakiś wynędzniały człowiek roztrącając uczestników Weneckiej Nocy i uparcie przyglądając się ich twarzom.

— Czego pan tu szuka, proszę pana? Czy wolno spytać? — zagadnął pan Antoni Uhde.

— Podobno jest tutaj — wykrzyknął mężczyzna. — Wie pan, pewien agent ubezpieczeniowy nazwiskiem Krogulczyk, ten, który mnie ubezpieczył. Pobiegłem za nim na dworzec, klęczałem przed wagonem błagając, aby mi zwrócił moje pieniądze, ale on spoglądał z okna i mówił, że już za późno, że z ubezpieczalni nie można wystąpić, że to jest tak samo jak z księżmi, którzy nie mogą wystąpić z Kościoła katolickiego... A tu pociąg już rusza, ja biegnę obok, tłukę pięścią, bębnię w blachę wagonu prosząc, aby mi zwrócił forszę... a żona była właśnie chora.

— Niech się pan tak nie przejmuj — radził przekonująco pan Tolek. — Ten człowiek na pewno skończy w kryminale, tak czy inaczej.

— Ho, ho, aleś mnie pan pocieszył! Człowieku, przecież ja bym musiał codziennie golić aż do północy, aby sobie tę rentę wygolić. Niech szlag trafi taką szczęśliwą przyszłość! Truciznę by mu podać w jedzeniu!

— Też coś! — sprzeciwił się Tolek. — Na takiego drania wcale by to nie podziałało, rozumie pan, im większy łajdak, tym więcej wytrzyma.

Powiedziawszy to spojrzął na blondynkę, która składała stolik i wybielacze marki „Tęcza” do walizki.

— Gdybym go złapał — wykrzyknął fryzjer — to bym go stuknął w łeb, o tak!

I wskazał oddalony nieco pawilon, gdzie młodzi mężczyźni sprawdzali siłę swoich mięśni uderzając młotem w specjalnie skonstruowany pień, który przy pomocy mechanizmu przenosił uderzenie na oświetloną żarówką skalę. Ale młodzieńcy odchodzili zawiedzeni, wracali więc i potrząsali aparatem, właściciel jednak wypychał ich stamtąd brzuchem.

Fryzjer kilku susami dopadł aparatury i porwał młot do ręki.

Jeden z młodzieńców rzucił żartobliwie:

— Lepiej byś, stryjku, kupił sobie różaniec!

Fryzjer jednak machnął młotem i maszyna zaczęła dzwonić, więc młodzieńcy, którzy już odchodzili, wrócili i zaniemówili ze zdziwienia. Obmacywali fryzjerowi muskuły, stawali na palcach odczytując maksimum na skali, właściciel zaś wybrał różową lalkę i podał ją zwycięzcy jako nagrodę.

— Wytknięty cel zmniejsza zmęczenie — zawołał fryzjer. — Tak oto dałbym temu łobuzowi po łbie! Porozrywałbym go na strzępy niczym żmiję!

I wzięwszy lalkę za nogi rozdarł ją tak jurnie, że aż mu wszystkie guziki poodpadały od marynarki. Pobiegnął teraz do strzelnicy i zażądał nabitej wiatrówki.

— Czy strzelał pan już kiedyś w życiu? — spytała właścicielka strzelnicy.

— Nie — odparł fryzjer. — Ale ma tu pani gdzieś figurki przedstawiające jakąś zbrodnię?

— O tu na przykład — powiedziała właścicielka wskazując trzcinką. — Kłusownik strzela do myśliwego.

Fryzjer wymierzył, nacisnął spust i myśliwy upadł.

Nieopodal pan Wiktor obejmował dziewczynę z nenufarami, przyciskał się do niej od tyłu i pouczał:

— Rozumie pani, na jednej linii muszę się znaleźć tak zwana muszka, celownik i tarcza.

— Nie rozumiem... — szepnęła.

— Bo to trzeba tak — obejmując ją przygniatał jej głowę, tak by dotknęła chłodnego metalu. — W ten sposób — szeptał. — Ale pani jest piękna, Urszulko, aż mi się serce ściska. Słyszysz pani, jak bije?

— Słyszę, ale pan się ze mnie śmieje — odwróciła się i dotknęła policzkiem jego twarzy.

Właścicielka podała fryzjerowi nabitą wiatrówkę wskazując:

— A tu ma pan sarnę!

Fryzjer podrzucił tylko wiatrówkę do brody, nacisnął spust i skacząca łania zwała się ciężko.

— Tak skończy, jeśli go spotkam — oświadczył fryzjer.

— Wcale bym się panu nie dziwił — powiedział pan Tolek.

Wiktor szepnął:

— Urszulko, gdzie pani sypia?

— Na dworcu.

— Tam przecież nie ma hotelu.

— W poczekalni, zawsze sypiam w poczekalniach. Dyżurny ruchu obiecał mi, że będę dzisiaj spać u niego w kasie i że mi da pod głowę księgę rachunkową i przykryje służbowym płaszczem.

— Jakie pani ma śliczne dołeczki — szepnął obejmując ją nadal; oboje trzymali wiatrówkę i opierali się o zielone sukno stołu.

— Pan żartuje.

— Nie... po co bym coś mówił, jeśli to nie była prawda? — szeptał.

— A tu dwaj mężczyźni piłują pień.

Fryzjer chwycił wiatrówkę, strzelił z boku... i dwaj chłopcy targanymi ruchami zaczęli piłować kłodę.

— Oto co by mu się należało! — ucieszył się fryzjer. — Nie natychmiastowa śmierć, ale tortury. Tak pomęczyć go troszeczkę. Różnąć drania pomalutku. A czym głośniej by krzyczał, tym bardziej radowałaby się moja dusza.

— Sam bym to panu doradzał — powiedział pan Tolek. — Mistrzu, chodźmy stąd, przejdziemy się razem przez Wenecką Noc, aby się pan trochę uspokoił, dobrze?

Wiktor szepnął:

— Niech pani idzie ze mną. Będziemy spali razem.

— A kocha mnie pan?

— Tak, przecież miłość to pośrednik między ziemią a niebem.

— Tak, to piękne, bo gdyby to nie była prawda, to po co by mi to pan mówił, nieprawdaż? — uśmiechnęła się i wymknęła z jego objąć.

Pan Wiktor podniósł wiatrówkę, spojrzał kolejno na wszystkie figurki z blachy i wymierzył w sarnę, która pięknym skokiem przesadzała sosenkę. Nacisnął spust. Sarenka trafiona w czarną tarczę runęła w dół.

Dziewczyna z nenufarami ciągnęła na sznurku zielony balonik, jedną ręką obejmując drewniane kolumnienki, i patrzyła ku rzece, gdzie przy brzegu stała barka obwieszona lampionami. Widziała, jak pan kierownik dźwiga na plecach ogromną tarczę o wycinkach we wszystkich kolorach, widziała, jak pomaga wejść na barkę blondynce i jak oboje siadają na ławeczce i wpatrują się w wodę. Widziała, jak pan Tolek, ten, który kupił jej zielony balonik, zbliża się do barki razem z tym zwariowanym facetem. Kiedy obaj wskoczyli już na pokład, ktoś drągiem odepchnął tę nawę od brzegu, a siedzący na rufie barki zespół tamburynistów zaczął przygrywać.

Pan kierownik ukrył się za tarczą „Tęczy”, blondynka zanurzyła rękę w chłodnym żywiole, uśmiechała się, cztery piękne dziewczyny brząkały na mandolinach „Na srebrnopiennej Łabie”, a stary piaskarz długim

drągiem sterował barką. Pośrodku rzeki podróżni zobaczyli, że cała Noc Wenecka chodzi w taflি wodnej na rękach, na głębinię kręciła się jeszcze jedna karuzela, jeszcze jedne huśtawki wzbijały się pod niebo... a kiedy wychylili się, widzieli, jak jeszcze jedna obwieszona lampionami barka płynie wraz z nimi po dnie, odwrócona do góry nogami...

— A co by pan temu swojemu facetowi zrobił — spytał pan Tolek — gdyby przypadkiem do pana przyszedł i kazał się ogolić?

— Namydliłbym go, a jakbym już brzytwę wziął do ręki, nikt by mi go nie odebrał. Już ja bym mu się odwdzięczył za tę szczęśliwą przyszłość! Ująłbym go za uszko i spytał: „A co zrobimy z uszkami?” I odrzywałbym je pomalutku wołając: „Oj, nie lubisz ty tego, nie lubisz!” — Fryzjer krzyczał i na przykładzie agenta pana Antoniego pokazywał, jakby to uszko pana kierownika dydolił.

Cztery piękne dziewczyny brząkały „Na srebrnopiennej Łabie”, za barką zaś księżyc odbijał się w wodzie długim *arpeggio*.

— Jak pan myśli — spytała blondynka kierownika, który ukrywał się za reklamą „Tęczy” — jak ja mam na imię?

Położył jej głowę na kolanach, ponieważ klęczał na dnie barki, i szepnął:

— Gdyby miała pani rude włosy i piegi na nosku, a grała przy tym na skrzypcach, nazywałaby się pani Wanda... Ale ten fryzjer działa mi na nerwy!

— Na imię mi Nadzia — powiedziała.

— Ach, Nadzia? To znaczy Nadzieja, Nadieżda... odplamiacz marki „Tęcza”, jakże się to wszystko ładnie składa — szeptał pan kierownik.

— A co by mu pan zrobił potem? — dopytywał się pan Tolek.

— Później bym go, drania, ujął za noc i powiedziałbym mu w obcięte ucho: „A co zrobimy z noseczkiem ślicznym?” Dylu, dylu, dylu! i dydoliłbym mu go powolutku, jakbym na skrzypcach wygrywał. Musiałbym chyba chodzić owce strzyc, aby sobie coś niecoś wystrzyc na tę szczęśliwą przyszłość!

— I mógłby pan być taki bezwzględny? — spytała fryzjera Nadzia.

— A mógłbym! I to jeszcze nie wszystko. Potem bym mu nogi poprzetrącał w goleniach! Żeby mi nie uciek! I dopiero wtedy zadawałbym mu najbardziej wyszukane tortury! — krzyczał fryzjer i na dowód kopnął w deskę przybitą do dna barki.

— Spokój, serdeńko, spokój! — upominał stary piaskarz.

Lampiony rozkołysały się i od barki zaczęły się oddalać kręgi i drobne fale zaniepokojonej tafli, księżyc zaś rozmazał się w długą kreskę.

Pan kierownik klęczał na dnice barki z głową na kolanach panny Nadzi i przytrzymał rękoma tarczę reklamową „Tęczy”.

— Wcale mnie nie dziwi — powiedziała Nadzia — że co chwila dokonuje się jakaś zbrodnia, jakieś morderstwo.

— Zbrodnia morderstwa w stosunku do takiego potwora to za mało! — wykrzyknął fryzjer. — Takiego to tylko torturować! Kutasa mu strugać temperówką do ołówków.

— To by chyba troszkę bolało — zaśmiała się Nadzia.

— I żeberka jedno po drugim wkopywać mu do klatki piersiowej! Włamywać mu je do środka nasłu-

chując, jak cichnie w nim krzyk! To by dopiero była rozrywka na deser! — delectował się nadal fryzjer.

— Serdeńko, nie kopże wciąż w tę barkę, dobrze? — upomniał go po raz drugi stary piaskarz.

— A w końcu przytknąłbym mu brzytwę do gardziołka i spytał: „No a co zrobimy z gardziołkiem?” — krzyczał fryzjer i nie można go było powstrzymać. — I zrobiłbym mu dylu, dylu, dylu! I poderżnąłbym go tak, że by mu głowa odskoczyła jak wieko walizki. I odciąłbym mu ją, o tak bym ją położył na ziemi i kopnąłbym, żeby poleciała aż hen tam, na księżyc! — zawołał fryzjer i z całej siły kopnął w deskę, która była przybita do dna barki. Deska ustąpiła i rzeka wtargnęła do barki, jej ciśnienie wypchnęło deskę, woda trysnęła niczym gejzer. Barka zaczęła z wolna tonąć.

— No i widzisz, czegoś, serdeńko, narobił! — powiedział stary piaskarz.

Prostokąt barki zniknął już pod wodą, lampiony dotknęły tafli, ale dziewczyny po kolana w wodzie nadal brząkały „Na srebrnopiennej Łabie”; woda sięgała im po pas, a one grały dalej...

Kilku podróżnych skoczyło do wody i płynęło do brzegu. Lampiony gasły z sykiem, kilka z nich oderwało się i pływało po topieli, dziewczęta podniosły instrumenty pod brody, ale grały nadal, woda sięgała im aż do piersi, dziewczyny podniosły mandoliny nad głowy i usiłowały grać dalej, ale woda tak się podniosła, że straciły grunt pod nogami... I dopiero teraz muzyka ucichła, dziewczęta płynęły, popychając przed sobą delikatnie instrumenty, podobnie jak pan kierownik tarczę reklamową z napisem „Tęcza”.

Fryzjer, który płynął z agentem, panem Tolkiem, wołał:

— A gdyby ten gość, co mi przyniósł tę szczęśliwą przyszłość, płynął tu ze mną, to bym go przytapiał, o tak! A gdybym czuł, że omdlewa, dałbym mu łyknąć powietrza i znów bym go wepchnął pod wodę, o tak! — I pokazywał, jak trzyma pana kierownika za kark i jak go topi. Ale przed nim płynęła piękna mandolinistka popychając przed sobą swój instrument, za nią zaś niczym wąż falował jej długi warkocz.

Ale oto już pierwsi podróżni z zatopionej barki wychodzili na brzeg z płytkiej wody i ludzie podawali im ręce. Cztery mandolinistki stanąwszy na pewnym gruncie wylały wodę ze swoich instrumentów, a ponieważ zgubiły piórka, brząkały w struny palcami i szły ku brzegowi płycizną, rzeźbione srebrnym blaskiem księżycą, nie mogąc ukryć pięknych piersi i mocnych brzuchów, i długich nóg, i smukłych kostek.

W tej chwili rozpoczęła się uroczystość pirotechniczna, sztuczne ognie, ludzie jednak nie podziwiali rakiet i rzymskich świec, które u szczytu swojej krzywej balistycznej rozpryskiwały się i zimnym ogniem o wszystkich barwach spadały w chłodną od rosy trawę, ale przyglądali się ślicznym dziewczynom, które stojąc w szeregu maszerowały w miejscu na płyciznie, rozpryskując wokół kostek srebrzystą wodę.

Dziewczyny czuły, ile setek par oczu na nie spogląda, ale nie miały się czego wstydić. Wypinały tym bardziej swoje wspaniałe piersi opięte mokrymi bluzeczkami.

— Oto złoty gwóźdź dzisiejszego wieczoru — oświadczył stary piaskarz.

Za krzewami wybuchnęły ognie bengalskie.

Aptekarz, który przygotował uroczystość pirotechniczną, biegał tam i z powrotem po brzegu wołając:

— To ja, to wszystko ja! Czerwony płomień uzyskałem używając strontu, zielony — baru, różowy — chloru, błękitny — miedzi, a żółty — sodu. A wszystko to pomieszane z chlorkiem potasu i siarką.

Wielebny ksiądz proboszcz, który przez lornetkę spoglądał na ciała pięknych dziewcząt; zauważył:

— Ja wiem, że jest pan drogista—materialistą! Ależ, ludzie moi złoci — wołał dostojny kapłan trzymając wciąż lornetkę przy oczach — ludzie moi złoci, piękno wszak Pana Boga nie obraża! Wprost przeciwnie!...

4

Prywatny pokój restauratora w hotelu „Pod Czarnym Koniem” pomalowany był na biało i meble w nim były też białe. Trzy mosiężne łóżka, dwie ogromne szafy, dwa nocne stoliki, a w oknach jasnoniebieskie zasłonki. Drzwi szaf były oszklone, za szybami zaś błękitniały też jasne firanki, ściągnięte pośrodku białą kokardką.

Wszedłszy do pokoju panna Nadzia rozejrzała się. Za nią kroczyły mokre ślady jej pantofelków. Zdjęła z pleców kosz, w którym niosła wilgotną reklamę wyrobów marki „Tęcza”, tarczę o wycinkach we wszystkich kolorach.

Postawiła reklamę obok umywalki, po czym otworzyła szafę i ściągnęła z łóżka prześcieradło. Pan Antoni Uhde, przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość”, stał we drzwiach i z ciekawieniem patrzył na dziewczynę.

— To jest pomysł! — stwierdził, kiedy Nadzia weszła do szafy.

Ruszył w kierunku drugiej szafy, zostawiając za sobą mokre ślady. Kiedy jednak zamierzał tę drugą szafę otworzyć, stwierdził, że jest zamknięta i że w zamku nie ma klucza.

— Tego swojego szefa to nie darzy pan szczególną miłością, prawda? — spytała z szafy Nadzia i przez na wpół otwarte drzwi przerzuciła biustonosz.

— Rzeczywiście, nie — odparł pan Tolek otwierając szuflady stolików nocnych; po czym uklęknął i zaczął szukać czegoś pod łózkami.

— Ja to bym czegoś takiego nie zniosła. A może jest pan aż tak gruboskórny?

— Jak długo wygłasza już pani wykłady o tej „Tęczy”? — spytał.

— Dwa lata.

— To już najwyższy czas, aby pani wiedziała, jak rozpaczliwie nudzą się agenci oferujący świeże powietrze. I że najlepszą obroną przeciwko nudzie jest zabawa...

— Aha, a więc pan jest nudystą! — zawołała Nadzia i wyrzuciła z szafy, przerzucając przez drzwi halkę, po czym spytała: — A czego właściwie szuka pan pod tymi materacami?

— Spinki do włosów.

— To dlaczego pan nie powie? — zaśmiała się wychylając z szafy głowę.

Tolek wyjął spinkę z jej włosów, zgiął ją, potem zaś włożył drucik do zamka. Patrząc w sufit i otwierając z wyczuciem zamek mówił:

— I ja muszę robić z siebie błazna, rozumie pani... To znaczy, mówiąc między nami, nie mam już siły z taką bezwzględnością naciągać rzemieślników na te renty i wyduszać z nich pieniądze... Otworzyć zamek to

wcale nie jest takie proste. Nerwy muszą sięgać aż po sam koniuszek spinki do włosów... Wie pani, ja już oduczyłem się kłamać...

— A kim był pan przedtem? — spytała Nadzia i owinięta w prześcieradło wyszła z szafy.

— Kim?... — powtórzył patrząc na postać jasnowłosej dziewczyny stojącej pośrodku pokoju, która wsunawszy rękę pod prześcieradło ściągnęła coś aż do kostek, po czym wyprostowała się i maszerując w miejscu wyszła z majteczek; pochyliwszy się podniosła je i przerzuciła przez drzwi szafy.

— Co pan tak na mnie patrzy? — uśmiechnęła się.

— Myślę, że pani jest bardzo piękna.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Że oduczyłem się już kłamać, ale pani w to nie wierzy.

— Wierzę, ale czyż można ufać ludziom z towarzystw ubezpieczeniowych? Jeśli któryś z was powie, że dziś czwartek, to na wszelki wypadek sprawdzam w kalendarzu.

— Panienska nie raz widać dostała po palcach...

— I w skórę!

— Gotowe! — krzyknął Tolek otwierając drzwi, po czym wyprostował wytrych sporządzony ze spinki do włosów i wyciągnął tę spinkę do Nadzi, która pochyliła głowę, tak że pan Tolek mógł wsunąć spinkę w jej włosy.

— Dziękuję — powiedział.

Kiedy zdjąwszy buty wchodził do szafy, potknął się o coś.

— O, mają tu gramofon — oznajmił.

— Gramofon? — wykrzyknęła Nadzia. — Ach, gdyby tak jeszcze była tam jakaś płyta.

Wzięła gramofon i postawiła go na stole.

— Kim pan był przedtem? — spytała otwierając wieko.

— Pirotechnikiem — odparł Tolek z szafy.

— O, jest i płyta! A co to znaczy... pirotechnik?

— To człowiek, który rozbraja niewypały: materiały wybuchowe, bomby, granaty...

— Ależ to Beniamino Gigli! Po jednej stronie śpiewa *Ave Maria*, a po drugiej... *Santa Lucia*. Szkoda, że nie jestem niewypałem bomby...

— Panno Nędzy, proszę mi ściągnąć...

— Na Boga, chyba nie kalesony!

— Nie, prześcieradło z któregoś łóżka.

— A ja już się przestraszyłam — powiedziała kładąc ostrożnie płytę na stole.

Podeszła z prześcieradłem do szafy, zapukała w na wpół uchylone drzwi i podała płótno.

— Nadzy mężczyźni wydają mi się bardzo śmieszni, wie pan?

— Gdzie pani mieszka?

— Na Libni. Dlaczego pan pyta?

— Bo od Libni i Żyżkowa Panie Boże uchwaj!

— Ale mieszkają tam najpiękniejsze dziewczyny.

— Że dziewczyny, to na pewno, ale najpiękniejsze?

— A pan gdzie mieszka?

— Wszędzie. Mam bilet kolejowy na cały okręg i kiedy kończy się mój tydzień pracy, który trwa cztery dni, jeżdżę pociągami pospieszными tak długo, dopóki nie znajdę gdzieś mieszkania...

— To bardzo piękne...

— Pani także — powiedział Tolek wychodząc z szafy owinięty w prześcieradło.

— *Ave!* — Podniósł rękę.

— *Maria* — dokończyła Nadzia i uniósłszy płytę położyła ją na talerzu gramofonu, po czym usiłowała go nakręcić, ale korbka bez oporu obracała się dookoła.

— Pęknięta sprężyna — oświadczyła zawiedziona.

— A co mi pani da, jeśli mimo to Beniamino pani zaśpiewa?

— Małego przyjacielskiego buziaka, siostrzany pocałunek.

— Niewiele to, ale niech będzie.

— Na bezrybiu i rak ryba. A więc pan mieszka w pociągach pospiesznych. O czymś takim jeszcze nie słyszałam. A jak panu doręczają pocztę?

Tolek założył igłę, przekręcił i ustawił membranę na początku płyty, po czym usiadł na krześle, położył palec na winiecie HIS MASTER'S VOICE i wskaźującym palcem rozkręcił płytę: staromodna orkiestra zaczęła grać przygrywkę.

— Warzyła kokoszka jagielki — zawołała Nadzia i usiadła na rogu stołu. — Że też mieszka pan w pociągach pospiesznych?! Co by na to powiedział pański ojciec?

— Udzieliłby mi swojego błogosławieństwa — odparł Tolek. — Powtarzam bowiem dokładnie to samo, co Los uczynił z moim ojcem, który był zawiadowcą stacji, ale kiedy pewnego dnia stwierdził, że jego żona, to jest moja mamusia, go zdradza, przeprowadził się do pociągu...

Beniamino wypełnił pokój soczystym głosem:

*O dolce Napoli, o suol beato,
dove sorridere volle il creato...*

— Jakież to smutne — odezwała się Nadzia.

— Skończywszy służbę ojciec wszedł do pierwszego lepszego pociągu i wracał dopiero wówczas, gdy musiał rozpocząć ją na nowo. Tak upłynęło dziesięć lat...

— A potem?

— Potem zastrzelił się w biurze. Rozebrał się do naga i jak daleko mógł sięgnąć, poprzybijął sobie na całym ciele wszystkie, jakie tylko miał, pieczątki. Kiedy tam wtargnęli, leżał na dywanie, a obok niego malutki rewolwer z rękojeścią z perłowej macicy...

Beniamino Gigli śpiewał radośnie:

*Tu sei l'imperio de l'armonia,
Santa Lucia, Santa Lucia!*

Nadzia pochyliła się, pan Tolek podniósł głowę, palcem wskazującym nadając nadal ruch okrężny płycie.

Dwoje ludzi w prześcieradłach wymieniło pocałunek.

— Dość już tego dobrego! — krzyknął pan kierownik stając w drzwiach; w jednej ręce trzymał butelkę szampana, w drugiej zaś ucho wiklinowego koszyka, z którego wychylały się główki trzech innych flaszek.

Gramofon ucichł.

— Myślałam — powiedziała panna Nadzia stukając palcem w czoło Tolka — że on ma tam kota, a on tymczasem ma całą menażerię. — I wskazując Tolka dodała: — Naprawił pękniętą sprężynę gramofonu stosując metodę: warzyła kokoszka jagielki. — Demonstrowała palcem, w jaki sposób można sprawić, by gramofon zechciał zagrać.

— To wspaniałe! — zawołał kierownik stawiając koszyk na stole i ściągając jednocześnie serwetkę. — Ludzie, tam za ścianą noc księżycowa, a my urządzimy tu sobie piknik. Nadziu, niech pani przygotowuje szklaneczki, są w koszyku. Gdzieście się przebierali? Aha, w szafie. Po tej kąpeli mróz mi wszedł w kości — wrzeszczał pan kierownik i w głosie jego brzmiała radość. — Z gramofonami łączą mi się nieprzyjemne wspomnienia — rozpoczął opowieść wszedłszy do szafy. — Przychodzę ja raz do kowala w Unhoszczy; on krajał boczek, a dzieci skupiły się wokół gramofonu i śpiewały razem z nim: „Płynie strumyczek szemrzący i hen ku lasowi dąży...” Jedno dziecko biegło po piwo, a kowal wraz z dziećmi i z gramofonem śpiewał: „Płynie strumyczek szemrzący...”, ja zaś w tej wrzawie wygłaszałem odczyt o korzyściach płynących z renty... W końcu wypisałem deklarację, kowal zaś wraz z dziećmi i gramofonem śpiewał: „Dobranoc, moja miła, życzę ci dobrej nocy...” I już poszedł po pieniądze, a gdy je przyniósł... masz ci los! buch! wyskoczyła sprężyna z gramofonu, smagnęła nas wszystkich po gębach, a mnie chlasnęła po szyi, spójrzcie tylko! — wołał radośnie pan kierownik i wychylając głowę z szafy podniósł brodę. — Cały rok miałem tu ciemną obrączkę, jak synogarlica, tak że wołałem nosić szalik. Może byście tak i mnie dali prześcieradło?!

Nadzia ściągnęła płótno z łóżka i przerzuciła je przez drzwi szafy, skąd rozbrzmiewał głos kierownika:

— Albo zegarmistrz w Mielniku. Aż do deklaracji wszystko szło z tym człowiekiem jak po maśle. Podaję mu ołówek, aby podpisał, a tu nagle ten chłopak niemądry, terminator! Wkładał sprężynę do zegara wahadłowego, no i wyskoczyła mu, zmiatając ze stołu

wszystkie kółeczka i zegarki, podarła deklarację, przeleciała w powietrzu przez całą pracownię i zatrzymała się dopiero w otwartej szufladzie z częściami zapasowymi... No i zegarmistrz zrezygnował ze szczęśliwej przyszłości. A kiedy nazajutrz szedłem do pociągu — mówił pan kierownik i wyszedłszy z szafy owinięty w prześcieradło kontynuował — spojrzałem do pracowni: zegarmistrz wraz z terminatorem wciąż jeszcze łazili na czworakach po podłodze szukając i zbierając porozsypane kółeczka i śrubki. — Krzycząc to pan kierownik podszedł do okna, otworzył je na oścież, tak że do białego pokoju płynęło teraz ciepłe powietrze i wiatr wiewał doń błękitne firanki.

— Wygląda pan jak Rzymianin — powiedziała Nadzia.

— Jak rzymski żebrak. A pani? Pani wygląda jak Rzymianki na szyldach składów aptekarskich — powiedział pan kierownik i wzięwszy butelkę wytrwanego szampana zaczął rozplątywać druciany koszyczek na korku.

— Mleczarskich? — spytała panna Nadzia.

— Aptekarskich!

— Przestraszyłam się już, że myśli pan o sklepach mleczarskich.

— W jednej ręce miska, w drugiej wąż.

— Bardzo mi przyjemnie. A co z panem Tolkiem?

— Nim zajmie się już Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, bo wygląda jak wół przed ubojem. Zaszyć by go w krowią skórę i podstawić bykowi do przerżnięcia! — wykrzyknął pan kierownik, wyjmując niespiesznym ruchem palców korek: mocny szumiący strumień trysnął z szyjki butelki oblewając Tolkowi głowę.

— Szampon do mycia włosów — śmiała się Nadzia.

— O jakże mi przykro! — usprawiedliwiał się pan kierownik. — Ten Château Mielnik jakiś dziś bardzo wybuchowy! — I zaczął nalewać płyn do szklaneczek.

— Głupie żarty! — irytował się pan Tolek i połową twarzy wymyślał, a połową śmiał się.

— No, a na jaką intencję wypijemy? — spytał pan kierownik i energicznym ruchem przesunął zasłonę na kółkach. — Za piękną noc. — Wskazał szklanką wiszący nad placem księżyc.

— I żeby interesy dobrze szły — dodała Nadzia.

— Za plamy, których nie można wyczyścić bez naruszenia osnowy tkaniny! — dorzucił Tolek.

— I jeszcze do centrali! — powiedział pan kierownik dzwoniąc kieliszkiem w szyjkę butelki.

— I patrzeć sobie w oczka! — Nadzia mrugała rzęsami.

Wypili do dna.

Nadzia nalała ponownie.

— I żeby interesy dobrze szły! Doskonale! — Pan kierownik usiadł. — Ale jakie? To nasze ubezpieczenie przeżywa już swój zmierzch i upadek. Za dobro, które rzemieślnikowi przynoszę, ten wymierza przeciwko mnie sprężynę gramofonu albo sprężynę zegara wahadłowego! A gdyby na tej krypcie ów fryzjer miał brzytwę, nie obroniłbym się przed nim.

— Agent ubezpieczalni w dom, szykuj dobrego kija! — Nadzia upiła odrobinę złocistego napoju.

— A więc radź, kobieto! — Pan kierownik wskazał Nadzię.

— Jestem głodna! — poskarżyła się.

— W koszyczku jest pieczeń po morawsku. A ty, Toleczku, zagraj! — wydał polecenie pan kierownik.

Staroświecka orkiestra, wprawiana w ruch palcem przedstawiciela towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość”, zagrała przygrywkę, po czym Beniamino Gigli zaczął:

Ave Maria...

Nadzia popijając wytrawnym szampanem wędzone mięso radziła:

— Niech panowie dadzą sobie z tym spokój. Proszę spróbować sprzedawać ludziom przedmioty codziennego użytku. Załóżcie firmę „Rzeźba Nagrobna”.

— Jak pani to sobie wyobraża?

Nadzia otarła usta i weszła do szafy zamykając za sobą drzwi. Po chwili rozległo się pukanie.

— Proszę — powiedział pan kierownik.

Nadzia wyszła, ukłoniła się i zaczęła:

— Panowie, jestem przedstawicielką firmy „Rzeźba Nagrobna”. Jaki pomnik chciałby pan mieć na grobie, w którym legnie pan kiedyś na wieczny odpoczynek? Nie wie pan? A więc spółdzielnia „Rzeźba Nagrobna” pomyśli o tym za pana. Oto album. Proszę popatrzeć... Czy reflektowałyby pan na ten, dajmy na to, pomnik z dwoma gołąbkami? Jeden z nich ma dziobek zwrócony ku górze, drugi w dół. Albo może woli pan ten pomniczek z płaczącym aniołem?

Pan kierownik zbliżył się do dziewczyny i pochwalił:

— Wspaniale!... Ale rękę proszę położyć na sercu, to zwiększy skuteczność oddziaływania na klienta. A więc...

— A może życzyłby pan pomnik z artystycznie wykonanym drzewem o jednej gałęzi złamanej? — mówiła Nadzia z ręką na lewej piersi.

Beniamino z ogromnym przejęciem zawodził:

Sancta... sancta!...

— A może ma pan własny pomysł i wyobraża pan już sobie, jak powinien wyglądać pański pomnik? Jeśli tak, „Rzeźba Nagrobna” wykona go według pańskiego życzenia i planów... — przekonywała Nadzia zdziwionego pana kierownika, który ujął jej prawą rękę.

— Nie powinna być pani taka nieruchoma, troszkę więcej naturalności w gestykulacji... Tak, teraz jest dobrze... wolną ręką proszę uczynić ruch przyzywający niebo na świadka... Będzie pani znakomitym agentem... hipnotyzującym oczyma i gestem...

— Wypiliśmy już — powiedziała Nadzia wracając do normalnej postawy.

— Zaczniście whisky — powiedział pan kierownik ściskając palcami nasadę nosa, jakby wkładał cwikier. — Jezus Maria! — wykrzyknął przyciskając nadal palcami kąciki oczu. — Z tego dałoby się wyżyłować niemało gotówki! I dać pracę dziesięciu rzeźbiarzom! Rozpoczęlibyśmy to z trzydziestoprocentowym zarobkiem. Klientów wynajdowalibyśmy na podstawie nekrologów.

Nadzia ścisnęła udami butelkę whisky i nim wyjęła korek, oświadczyła:

— Stypa pogrzebowa to już trochę za późno. Za parę groszy każdy posługacz w szpitalu powie, kto jest już jedną nogą na tamtym świecie.

Pochyliła nos nad szyjką butelki.

— Ale klasa! — pochwaliła.

— W koszyczku są kieliszki — powiedział pan kierownik.

Głos Beniamina zwiądl nagle, Tolek potrząsał ręką, aby krew dopłynęła do zdrętwiałych palców.

— Te kieliszki to chyba dla panów — powiedziała Nadzia. — Co do mnie, będę piła w szklance.

Tolek odwrócił płytę i znów zaczął nadawać jej ruch okrężny.

O dolce Napoli, o suol beato...

— Toleczku, troszkę za bardzo to hałasuje — wykrzyknął pan kierownik.

— Nic nie szkodzi, ja ubóstwiam śpiewaków — oznajmiła Nadzia kierując się w stronę szafy i wracając z mokrymi skarpetkami.

— Założymy mu tłumik — mówiła wkładając do środka męskie skarpety.

Głos Beniamina sączył się poprzez mokrą tkaninę:

...tu sei l'imperio de l'armonia...

— Można by też spróbować interesu z obrazami — podsuwała Nadzia ze szklaneczką przy dolnej wardze.

— Dajcie mi spokój z obrazami! — Pan kierownik zerwał się i wyciągnął ręce obronnym gestem. — Z obrazami zdechł pies. Ludzie mają pełne pokoje obrazów. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie obrazy i tylko obrazy. A na licytacjach? Nic tak nie spadło w cenie jak właśnie obrazy! Za kilkadziesiąt tysięcy koron można by mieć dzisiaj własną galerię. Założę się, o co chcecie, że „Rzeźba Nagrobna” to właśnie to, czego szukamy.

Podskoczył, po krótkim rozbiegu obrócił się w locie i usiadłszy na białym parapecie okna, z rozkoszą wpatrywał się w niebieściutkie niebo przyozdobione

białym księżycem, po czym przeniósł wzrok na kolumnę dziękczynną, która wznosiła się na placu niczym czarny gejzer, niosący na swoim wierzchołku złoty posąg Najświętszej Panienki... Patrzył też na fontannę, w której srebrzyście połyskiwała woda i z której tryskał pionowo srebrny strumyczek podtrzucając i igrając piłeczką pingpongową, która spadała z kolei do siateczki umieszczonej na źródle strumyka, tak że piłeczka powracała znów na wierzchołek kolumienki z wody.

— Ja tam po rozum do głowy nie muszę chodzić na rękach! — oświadczyła Nadzia nalewając sobie alkoholu.

Przełknąwszy napój odetchnęła tak, że aż jej wargi zawibrowały.

Głos Beniamina dogorywał w mokrych skarpetkach:

Santa Lucia, santa Lucia...

Nadzia podniosła palec, weszła do szafy, po czym zapukała:

— Proszę — powiedział pan kierownik.

Dziewczyna wyszła z białej szafy i ukloniła się.

— Prezesie! Jak wiesz, władza przeszła w wasze ręce, a wraz z nią odpowiedzialność za sprawę kultury. Inne czasy, inne tematy. Malarze pracują teraz dla was! Tu w pomieszczeniu rady zakładowej powinien wisieć obraz. Co sobie życzysz: „Brygadę pracujących górników” czy „Drugie śniadanie w hucie stali”, czy może „Spust surówki z pieców martenowskich”?

Pan kierownik zeskoczył z parapetu okiennego i zbliżając się do Nadzi szeptał:

— Bajeczne!... Ale teraz znowu ten surowy, niemal imperatywny gest. I natychmiast rozejrzeć się po ścianach, jakby szukając miejsca, gdzie by ten obraz powiesić... Tak, tą ręką jakby dyktować... odpowiedzialność za sprawę kultury! Proszę, niech pani mówi dalej, dalej — dyrygował pan kierownik ręką; nalał sobie odrobinę alkoholu i lekko popłukał usta. Następnie położył się na łóżku, wziął ręcznik i zakrył nim sobie twarz. Nadzia napiła się, zbliżyła dłoń do ust i wachała swój oddech.

Uklękawszy przy łóżku szeptała w ucho kierownikowi:

— A teraz jesteśmy na wsi... Dyrektorze! Do nowych dzbanów nalewa się nowe wino. A więc i do tego gospodarstwa państwowego potrzebne są zupełnie nowe obrazy. Nowi artyści już je namalowali... Gdzie, jak pan myśli, można by powiesić obraz „Zaorywanie miedz” albo „Kombajn w morzu żyta”? — szeptała dziewczyna.

Tolek przykucnął przy Nadzi, z której zsuwało się prześcieradło, i wpatrywał się w usta dziewczyny.

— Można by w tej pracy posługiwać się samochodem — ciągnęła — i mieć od razu ze sobą dziesiątki gotowych obrazów, a także młotki, gwoździe i haki... Dyrektorze, niech pan doradzi, gdzie to powiesić? Tu, tam czy jeszcze gdzie indziej? I można by tą akcją objąć cały kraj! — powiedziała Nadzia i natychmiast zadała sobie pytanie: — A może by lepiej prowadzić to za pośrednictwem jakiegoś stowarzyszenia artystów plastyków? Byłaby pieczętka! Można by nawet płacić za pomocą przekazów pocztowych...

Uniosła się, przez chwilę klęczała oparta dłońmi o podłogę.

Po chwili wstała, poprawiła na sobie prześcieradło i nalała do swojej szklaneczki.

— A więc wciąż jeszcze smakuje to pani? — spytał Tolek.

Potrząsnęła przecząco głową mówiąc:

— Aha!

— Powinna pani mieć się trochę na baczności! — poradził Tolek.

Przytakiwała całym ciałem mówiąc:

— Nie.

Pan kierownik leżał na łóżku z rozrzuconymi rękoma i ręcznikiem na twarzy.

Nadzia położyła palec na ustach.

— Toleczku — szepnęła — chciałabym wyskoczyć na chwilę w kobiecych sprawach.

— Wyjdzie pani na korytarz, minie pani jeden pokój, potem drugi, a tam już będzie to, czego pani szuka! — wskazywał poprzez ścianę.

Kiedy wysłiznęła się na korytarz zamykając za sobą drzwi, przez okno na końcu korytarza napłynął chlorowy blask księżycy, który pozwolił wynurzyć się z mroku profilowi ogromnego wiklinowego wózka dziecięcego na spiralach stalowych sprężyn.

Nadzia kroczyła ku pochyłej białej skrzynce miesięcznego światła, oparła się o dno wózka, a kiedy sprężyny lekko się ugięły, usiadła na jego dnie, po czym położyła się, tak że tylko ręce i nogi wystawały jej niczym z malutkiej wanny. Rozglądając się widziała, że drugie okno oświetla klatkę schodową i blask księżycy obejmuje sztuczną palmę stojącą na wysokim cokole. A kiedy spojrzała w kierunku, skąd przyszła, zobaczyła skośną laseczkę srebrnego światła, która wyływała z dziurki od klucza jakiegoś pokoju.

Podniosła się cicho i uklękawszy przyłożyła sobie dziurkę od klucza do oka.

Widziała wewnątrz pokoju, który również był cały w bieli, widziała stojącego przed łóżkiem przepasanego ręcznikiem młodzieńca, a w pościeli nagą dziewczynę, przyciskającą do głowy obu rękoma tyrolski kapelusik.

— Proszę zdjąć ten kapelus — poprosił młodzieniec i uklękął na krawędzi łóżka.

— Nie — broniła się dziewczyna. — Gdybym zdjęła swój kapelusik, byłabym zupełnie naga.

— Proszę zdjąć ten kapelus — młodzieniec ponowił błaganie i obu kolanami ukląkł obok poduszki.

— To niemożliwe. Straciłabym panowanie nad sobą, ten kapelus jest niczym pierścionek matczyny — powiedziała dziewczyna i przytrzymując jedną ręką kapelusik, drugą zgasiła światło.

— A więc i w stosunku do mnie mieli takie plany — szepnęła Nadzia.

I cichutko bosymi stopami odeszła do swojego pokoju po kokosowym chodniku.

— Kto mieszka w tym pokoju obok? — spytała.

— Wiktor, także agent — odparł Tolek.

— Wiktor? On powinien nazywać się raczej Fik Tor! Ale wiecie, co? Toleczku, chodźmy, załomoczemy mu do drzwi!

Kierownik podniósł się, zdarł z twarzy ręcznik i spuścił nogi z łóżka.

— Tak, to jest myśl! — oświadczył wstając. — Ale, ale, niewiasto! W piątek mamy lekcje tańca „U Niemców” na Wyszegrodzie. Niech pani tam przyjdzie. Porozmawiamy. Zarówno te pomniki, jak i obrazy kryją w sobie całkiem realne nadzieje... Tolku, pójdiesz i załomoczysz Wiktorowi w drzwi.

— Wam to dobrze, a ja dostanę po gębie.

— Mówię ci: idź! Zostawimy drzwi otwarte, a jak on wyskoczy, ty będziesz już tu z powrotem. Umiesz chyba jeszcze biegać?!

— No pewnie, ale, panno Nadziu, proszę zostawić otwarte drzwi!

— Ależ proszę pana! — Nadzia zrobiła doń oko znad brzegu szklanki do szampitra, z której pociągała whisky.

Tolek wszedł na korytarz, długimi bocianimi krokami zbliżał się do drzwi pokoju Wiktora i odwróciwszy się, z zadowoleniem spostrzegł, że zza drzwi ich pokoju wyglądają głowy Nadzi i pana kierownika.

Uderzył pięścią w drzwi.

Przyłożył ucho do deski i nasłuchiwał.

Po chwili załomotał ponownie.

Widział, że Nadzia i pan kierownik wyciągają z pokoju szyję i Nadzia pokazuje mu piastką, aby porządnie zastukał.

Zastukał w deskę, drzwi otwarły się gwałtownie i Tolek uderzył Wiktora w czoło, po czym odwrócił się pospiesznie i zaczął uciekać ku oświetlonej szparze drzwi, które jednak zamknęły się, podczas gdy nogi Wiktora dosięgnęły jego tyłka.

Tolek nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte, a Wiktor ostatnim kopniakiem powalił go na kokosowy chodnik.

Drzwi otwarły się i Tolek wpadł do pokoju. Podniósł się, zatrzasnął drzwi i obrócił klucz w zamku.

Pan kierownik leżał znów z rozrzuconymi rękoma na łóżku — na wznak i z twarzą przykrytą ręcznikiem, Nadzia zniknęła, ale widocznie była w szafie, skąd dobiegał jej śmiech i uderzenia piastek, którymi bębniła w tylną ścianę.

— Głupie kawały — powiedział Tolek nalewając sobie whisky.

— Cierpienie to droga do mądrości. — Pan kierownik uniósł ręcznik nad ustami i przykrył je ponownie.

— Ten łobuz grywał w piłkę nożną — poskarżył się Tolek wypiwszy.

— Nie gaś tego, co cię nie parzy — powiedziała Nadzia z szafy i dodała: — Taki napis przeczytałam na pewnej remizie strażackiej.

— Kto zamknął drzwi? — grzmiał Tolek. — Wi-
siałem tam na klamce jak święty Wacław.

Przystawiwszy krzesło do umywalki i wspiąwszy się na nie, podkasał prześcieradło i spojrział w lustro.

— No i proszę bardzo, będę miał siniaki jak śliwki — poskarżył się.

— Panie i panowie, na siniaki używajcie gwarantowanego odbarwacza marki „Tęcza” — zawołała Nadzia wybiegając z szafy; otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Po chwili wróciła z ogromnym wiklinowym wózkiem, rozpędziła się, skoczyła, prześcieradło zsunęło się z niej, ale okręciła się nim w powietrzu i upadła na plecy do wózka; ręce i nogi zwisały i wózek poruszał się od śmiechu, który nią wstrząsał.

Kierownik zdał ręcznik z oczu.

— No i proszę, już się robią fioletowe — lamentował Tolek.

Nadzia oparła się na łokciach i potrząsała głową.

Gdy otarła łzy z oczu i spojrzała na mężczyznę stojącego na krześle, odwracającego się i patrzącego w lustro na swoje cienkie nogi, zawołała krztusząc się ze śmiechu:

— Będziesz tam miał, Toleczku, takie plamy, jakich nie da się wyczyścić bez naruszenia osnowy materiału. Wyciąć nożem — oto jedyny sposób. Na oddziale chirurgicznym.

Opuściła się w dół i ręce jej znowu zwisały, wózek zaś poruszał się od śmiechu.

Tolek zszedł z krzesła i odkręciwszy kurek nabierał w dłoń garście wody i przykładał je sobie do tyłka.

— Czyja to wina, czyja? — krzyczał.

— Ja to wymyśliłem — przyznał się kierownik. — Za tego faceta, któregoś przyprowadził na tę krypę.

— Ale kto zamknął drzwi, kto? — Tolek wyprostował się i twarz mu się wykrzywiła.

— Ja! — Nadzia podniosła się. — Kto się lubi, ten się czubi! — zawołała i ze śmiechu runęła w głąb wózka.

Tolek otworzył drzwi i wózek wraz z Nadzią wypchnął na korytarz, po czym spuścił go po schodach. Wózek podskakując ze schodka na schodek toczył się w dół.

— Zacznę się jękać — zawołała Nadzia.

Wózek uderzył w cokół: sztuczna palma spadła na podłogę i wstrząsnęła hotelem.

Tolek wślizgnął się do pokoju i zgasił światło.

Kierownik podszedł na palcach do okna, usiadł na parapecie i ponad dachami patrzył na pola, gdzie w oddali w deszczu światła reflektorów pracowała młockarnia; na wale stała kobieta z głową okręconą chustką i odbierała snopy, które z drabiniastego wozu podawał jej mężczyzna w białej koszuli. Kobieta wpychała zboże do wnętrza maszyny, z której się kurzyło. A dmuchawa, zaopatrzona w długą rurę, wyrzucała w oświetlone powietrze plewy, złote plewy, które tryskały w dal z wielką szybkością i nadawały tej

nocnej scenie fantastyczną oprawę. Nie opodal wznosił się stóg słomy, w którym robotnice i robotnicy stojąc w niej aż po pas podawali widłami słomę coraz wyżej i wyżej... Po chwili chłop w białej koszuli podał ostatni snopek, a kiedy młockarnia już się z nim uporała, zaczęła nagle łomotać tak jakoś z wesołą, pusta wewnątrz, jakby uradowana, że może sobie trochę odpocząć, zupełnie tak samo jak ta kobieta, która stanęła pod reflektorem, odwinęła z głowy zakurzoną chustkę, odetchnęła głęboko i napiła się piwa z zielonej flaszki...

— Ktoś schodzi na dół — szepnął pan Tolek i uchylił drzwi.

Zobaczył, że z pokoju obok apartamentu Wiktora wyłonił się staruszek ze świeczką w ręku, zszedł po schodach, poświecił na Nadzię, która — odkryta — spała w wózku.

Po chwili staruszek zawrócił na górę stąpając w blasku świeczki i kierując się do swojego pokoju. Kręcił głową i nim zamknął za sobą drzwi, wyszeptał:

— Takie dużo dziecko!

Nad miastem wisiał księżyc, a w fontannie wodotrysk igrał białą pingpongową piłeczką.

5

Za skrzyżowaniem dróg stał wóz konny. Przed koniem klęczał mężczyzna w skórzanych rajtkach i krawieckim centymetrem mierzył zwierzęciu obwód kopyt, następnie szerokość piersi, po czym długość nogi od kolana do kopyt. I wszystko to zapisywał w notesiku.

Po drugiej stronie pięła się wzwyż pobocza ścieżka do domu, a przy tym budynku stało rusztowanie, za

rusztowaniem zaś znajdowała się biała ściana, na której białą farbą olejną wymalowano konia. Konia ogromnych rozmiarów, któremu brakowało przednich nóg. Na koniu siedział jeździec w ineksprymablach i wyciągał z pochwy wygiętą szablę.

Mężczyzna w rajtkach, zanotowawszy wszystkie wymiary, oświadczył:

— I w ten sposób będziemy to mieli z natury.

Dwaj przedstawiciele „Spokojnej Starości”, którzy przyjechali tu autobusem, nie ukrywali zdziwienia.

— Chce pan temu rumakowi uszyć spodnie? — spytał pan Bucefał.

Niepozorny woźnica wskazał biczyskiem budynek.

— I to ma być Kasztanek? Wcale mi się toto nie podoba.

— Powiększyłem go tylko — odparł mężczyzna w rajtkach.

— Ależ mój Kasztanek to piękny koń belgijski — powiedział woźnica klepiąc wałacha po zadzie. — A tamten na murze to szkapa, co brzuchem szoruje po ziemi. Niczym jaka łasica. Gdzie tam jej do mojego Kasztanka!

Splunawszy strzelił z bicza i koń belgijski odsunął się na bok.

— Idioci! — wykrzyknął mężczyzna w rajtkach. — Przecież maluję to tylko i wyłącznie dla was! Powiedz wszystkim woźnicom i kierowcom, że namalowałem to dlatego, aby mieli już z daleka na co patrzeć. I że wieczorem święty Wacław będzie oświetlony z dołu jak praski Zamek.

Woźnica odwrócił się i idąc tyłem wskazywał biczem.

— Taki ci to święty Waclaw! Przecież toto wygląda, jakby prosto z domu wariatów.

— Jestem na dobrej drodze — cieszył się człowiek w rajtkach. — Gdyby moje obrazy podobały się temu woźnicy, nie byłyby warte funta kłaków.

— To pan jest malarzem Zerko! — stwierdził pan Bucefał.

— Aha.

— Nie ulega wątpliwości — potwierdził pan Tolek Uhde.

— Jesteśmy przedstawicielami renty rzemieślniczej. Pisał pan do nas, że to pana interesuje, więc jesteśmy.

— Tak, tak... Proszę dalej! — zapraszał pan Zerko, a kiedy ruszył z miejsca, na cholewie buta błysnęła zaschła krew.

Na podwórku wisiała na drągach rozplątana koza, miała szklane niebieskie oczy, a z nosa kapła jej galareta. Wywróconą na drugą stronę skórę rozpięto na sękach w płocie. Łaziły po niej zielonozłote muchy. Kilka kur ciągnęło i rozwlekało po podwórzu brunatne wnętrzności.

Stary, na wpół oślepy pies podniósł w kącie podwórza nogę, jakby grał na skrzypcach, i długo oddawał mocz.

— Panowie — zawołał pan Zerko.

— Co się stało? — przestraszył się pan Bucefał.

— Wiecie panowie, co będę musiał kiedyś namalować? Sąd ostateczny wszystkich białych kóz, jakim w swoim życiu poderznięłem gardła. Ale skąd wezmę tyle bieli?

— Kiedy będzie pan członkiem „Spokojnej Starości” — powiedział pan Tolek — będzie się pan mógł ubiegać o specjalną zapomogę.

— Miło o tym słyszeć — roztajał pan Zerko i wyjął zza cholewy nóż rzeźnicki, po czym zaczął sobie obcinać zadarte skórki u paznokci. — W innym bowiem wypadku musiałbym przez całe życie jeździć na rowerze krzycząc: „Skóóóóra!” Ale będzie to piękny obraz! Mam go już w sobie. I będzie się ten obraz nazywał „Sąd ostateczny kóz”. A pośrodku — między kozami — będę stał ja z nożem w ręku. — Panowie, cóż to za rozkosz: wbijać kozie nóż w gardło! Jako kozłarz mam chyba prawo do miana rzemieślnika, prawda?

— Tak — odparł pan Bucefał. — Jest to rzemiosło związane z nieruchomością.

— To naprawdę radosna wiadomość — powiedział kozłarz.

— I te obrazy także niesmutne — dodał pan Tolek.

Ściany chlewików, komórek i budynków, wszystko pomalowane było farbami olejnymi, a jeden obraz przechodził w drugi, chociaż niewiele miały ze sobą wspólnego.

Kozłarz stał obok pana Tolka i podziw gościa sprawiał mu ogromną przyjemność.

— I to wszystko pan sam? — spytał agent.

— Aha — odparł pan Zerko, zachwycając się nadal swoimi obrazami, na które patrzył przez pryzmat uniesienia swojego gościa.

Na ścianach komórek krzewiła się zieleń paproci i skrzypów, pomiędzy którymi biegła naga kobieta z rozwianą grzywą włosów, z pleców jej sterczał nóż rzeźnicki, a w gałęziach nad nią śmiał się kosmaty mężczyzna przygotowujący pętlę z mosiężnego drutu; ze wzgórza zjeżdżały na desce do maglowania bielizny dzieci, a wychudły młodzieniec chodził boso po

odłamkach szkła, tuż obok niego zaś stała dziewczyna trzymająca w palcach końską czaszkę...

— Naprawdę? To wszystko pan sam? — dziwił się Tolek.

— Ja! — przytaknął koźlarz nie spuszczać z agenta wzroku.

Pan Tolek wspiął się na drabinę, aby obejrzeć także i te obrazy, które przesłaniał daszek werandy, a kiedy zajrzał na podwórko i zobaczył odartą ze skóry kozę, kury rozciągające na cztery strony świata jej wnętrzności, kiedy zobaczył starego psa, który wciąż jeszcze oddawał mocz i łapę miał uniesioną, jakby grał na skrzypcach, kiedy następnie ujrzał otwarty ustęp, a na jego ścianach namalowane rude małpy, magoty i pawiany, jakby malarz maczał pędzel w zawartości tej wygodki — panu Tolkowi zakręciło się w głowie i nie zdążył zbiec po szczeblach, lecz zsunął się po drabinie na plecach wprost w objęcia koźlarza, który przyłożywszy mokre wargi do ucha agenta, szepnął:

— To wariacje na temat sennika i moich snów.

— Skąd się to w panu bierze? — spytał Tolek.

— A jest to we mnie tak jak w kozie — powiedział koźlarz. — Bo — według sennika — zabitych rodziców widzieć oznacza szczęście, małżonkę martwą — radość, szaleństwo — ślub, być ogarniętym wściekłością — szczęście przez cały rok...

— Przepraszam, a jakie pan ma wykształcenie?

— Dwuklasówkę — odparł koźlarz i ucieszył się widząc, jak pan Bucefał okrąża pompę, gdzie na cembrowinie przechadzał się nagi mężczyzna z kapeluszem zawieszonym na kutasie, podczas gdy sześć gołych kobiet wesoło taplało się w gnojówce.

— A to co? — spytał pan Bucefał.

— Sam bym chciał to wiedzieć! — oświadczył pan Zerko i idąc tyłem wszedł na schody, wysunął rękę za plecy i otworzył drzwi na werandę. — Ale dopiero teraz nastąpi to najważniejsze! — Podniósł palec i pozwolił wejść wszystkim agentom, po czym nie rzuciwszy nawet okiem na swoje dzieła, rozpoczął wykład:

— To, moi panowie, wariacje na temat tych drogich rąk ludzkich, tych najdroższych ludzkich rączek. Tu oto jedzie pociągiem młodzieniec do dziewczyny wioząc jej bukiet róż. Tu go panowie widzą: stoi trzymając się jedną ręką poręczy wagonu, w drugiej zaś ściskając bukiet. A teraz wyskakuje, ale noga — jak to panowie widzą — ześlizguje się i młodzieniec wpada pod koła. Tam dalej przedstawiłem, jak jedno koło obcina mu rękę, w której trzymał bukiet. A jego narzeczona, jak to uwidoczniło w tle, podnosi rękę. Tu zaś obcięta ręka potoczyła się aż za szynę. Dalej więc widzimy, jak młodzieniec ręką, która mu jeszcze została, sięga po tę rękę, która nadal ściska bukiet. Pociąg jednak ciągle jedzie i następne koło obcina młodzieńcowi tę rękę, którą podnosił tę pierwszą rękę, która trzymała bukiet... Tu zaś widać, jak ów bezręki młodzieniec siada, a stopień, bo pociąg właśnie się zatrzymywał, jak stopień ten rozbija mu głowę i młodzieniec pada... Piętnaście obrazków, dokładnie tak jak to widziałem na dworcu, piętnaście wariacji na temat tych ludzkich rączek najdroższych...

Koźlarz wykrzykiwał czerpiąc zachętę ze spojrzeń swoich gości i odwróciwszy się zaczął się cofać ku drzwiom. Tu nacisnął klamkę i oparł się plecami, tak że drzwi otworzyły się na oścież i ukośny tunel światła oślepił agentów.

— A tu, proszę panów, mamy kuchnię — wołał koźlarz wchodząc tyłem do pomieszczenia. — Tutaj

wszystko już mamy pomalowane: nie tylko ściany i sufit, ale i szafy, i to nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz.

Ściany kuchni lśniły jak wnętrze pieczary. Smutni mężczyźni całowali ciężarne kobiety, w tle bodły się rogami białe woły, nad łóżkiem klęczała młoda kobieta i płukała w wodzie strumyka flaki, a wzdłuż szpaleru wierzb jechał muzykant z zarzuconym na ramię helikonem na rzemieniu...

— Proszę zwrócić uwagę na ten kredens, obrazy mają tu swój ciąg dalszy wewnątrz kredensu i ciągną się zeń na zewnątrz — uśmiechał się pan Zerko.

— Tu w tym kredensie — ciągnął — zobaczą panowie wariacje na temat nieszczęśliwego wypadku, doprowadzone aż po scenę śmierci! — Obu rękoma wskazywał kredens wołając — Tu, jak panowie widzą, stoi Cygan dokonujący spustu surówki z pieców martenowskich. Dalej widzimy, jak Cygan wpada do kadzi z wrzącą stalą, potknął się bowiem o jakieś żelastwo. Tu natomiast przedstawiono, jak dźwig unosi kadzę, na której dnie namalowany jest Cygan, dalej zaś można dostrzec, jak stal wpływa do form, a w każdej z nich znajduje się Cygan. Tam zaś Cygan dostaje się do walcarki, gdzie walcuje się płyty, i w każdej płycie nadal widzimy całego Cygana. A tu wyobrażono, jak z płyt robi się blachę, blachę antykorozyjną, oczywiście, w każdym arkuszu mamy całego Cygana, z tych zaś arkuszy wykrawa się łyżki, noże i widelce i jak panowie widzą, wszędzie narysowałem tego Cygana, który na początku wpadł do przetopu... Tak oto Cygan rozszedł się w sztucach po całym świecie, wszędzie znajdowała się jego częśćka, ale ja w każdym z tych przyborów do jedzenia narysowałem go w całości, no... — opowiadał koźlarz

wpatrując się nadal w oczy swoich gości, którzy z trudem przetykali powietrze i drętwieli ze strachu.

Pan Zerko uklęknął koło łóżka, po czym położył się i wsunął do szafki pod zlewem, tak że wystawały mu stamtąd jedynie skórzane rajtki i długie buty o zakrwawionych cholewach.

— No i jakże będzie z tą rentą? — spytał.

Pan Bucefał uklękawszy zobaczył, że pan Zerko ma w szafie pędzelek i miseczkę z tuszem i że maluje na wewnętrznych ścianach jakieś figurki.

— Najbardziej odpowiednia byłaby dla pana chyba piąta grupa, renta wynosiłaby wówczas jakieś tysiąc sto koron — powiedział.

— A więc proszę mnie zapisać! — zadudnił głos koźlarza.

Pan Bucefał rzucił teczkę na pierzynę, położył na podłodze blok z deklaracjami, wsunął kalkę i zaczął wpisywać imię, nazwisko, grupę renty, adres, po czym przemnożywszy sumy podkreślił iloczyn.

— Panie Zerko! — odezwał się pan Tolek — panie Zerko, proszę nie podpisywać tej deklaracji, to oszustwo!

— Co? — Koźlarz wysunął się ze skrzynki.

— Niech pan zrozumie, to nie dla pana, ta renta... bo aby otrzymywać ten tysiąc, musiałby pan wykupić dwadzieścia lat wstecz... a tegośmy panu, panie Zerko, nie powiedzieli... Lepiej niech pan sobie zafunduje farby i maluje — przekonywał pan Tolek.

— Ależ w przeciwnym razie musiałbym przecież przez całe życie jeździć na rowerze krzycząc: „Skóóóra!” Skoro robotnicy mają rentę, to dlaczego nie miałby jej mieć każdy? — krzyczał pan Zerko. — A zresztą co panu do tego? Pański kolega spisuje to ze mną, nie pan!

— Tak — powiedział pan Bucefał. — Proszę: oto ołówek i...

Nagle pierzyna się uniosła, teczka ześliznęła się i z łóżka wyskoczyła staruszka w białiznie, porwała bloczek z deklaracjami, wyrwała kilka blankietów i drąc je na drobne części, posypywała klęczących pośredników.

— To moja mamusia — przedstawił kozłarz. — Moja Muza, podsuwa mi pomysły, według których później maluje.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedziała staruszka i podała rękę panu Tolkowi. — Jakież tam znowu ubezpieczenie! Nie mamy nawet na farby. Ale proszę ze mną do pokoju, mamy tam rzeczy naprawdę niezwykle! — zapraszała wpatrując się swoimi błękitnymi oczyma w oczy pana Tolka i cofając się odnalazła ręką klamkę i otworzyła drzwi do pokoju, potem zaś skierowała się w stronę małżeńskiego łóża, gdzie nie było ani pościeli, ani materaców, ale od krawędzi do krawędzi leżały ułożone starannie szybki, które tworzyły szklaną książkę.

— To jest malowidło na szkle i prawdziwą rozkosz sprawia mi patrzenie, jak mój syn pędzelkiem maluje obrazki po drugiej stronie szybki... To tak jakby kotek pazurkiem dotykał lustra... — mówiła patrząc w twarz panu Tolkowi i na pamięć kartkowała w tej szklanej księdze, która trzeszczała, kiedy szkło kruszyło się na brzegach. — I tak na przykład tu wymalowany jest święty Augustyn, jadący na kombajnie poprzez morze żyta. Ale jak tak na pana patrzę, to widzę, że pan woli raczej motywy religijne, prawda? — Uśmiechnęła się. — A otóż i one! — zawołała i ledwie musnąwszy oczyma szklaną księgę, wpatrzyła się znów w pana Tolka.

— Wyciągnęłam tu panu sytuację, przedstawiającą świętego Anioła z różami, które wypadają mu z ust. A tu znowu to nieszczęście, co przydarzyło się świętemu Bernardowi, który przypadkiem podczas wieczerzy Pańskiej wypił z kielicha pająka. Pająk ten żywy wylał mu z ust... biedny pajaczek! A tu mamy coś... Hej, wy tam! — wykrzyknęła staruszka, ale nadal patrzyła Tolkowi w twarz. — Ty antychryście! A pójdziesz mi tu! — I wciąż nie spuszczała wzroku z pana Tolka.

Z kuchni wyszedł pan Bucefał.

— Ma pan jeszcze mamusię? — spytała staruszka.

— Mam — szepnął pan Bucefał.

— A więc widzi pan — ciągnęła i dalej patrzyła panu Tolkowi w oczy — tu mamy sen, jaki miała mamusia świętego Dominika, sen, w którym zdawało się jej, że urodziła psa w białe i czarne łaty, który pochodnią oświetlił cały świat... Bardzo pracochłonne jest to malowanie na szkle, prawda? I pana mamusia na pewno śniła też o panu, jaką to rolę będzie pan grał na tym świecie, ale bez wątpienia nawet we śnie nie przypuszczała, że urodzi oszusta... Jak pan się nazywa?

— Bucefał.

— Takie piękne nazwisko — powiedziała. — Ale niech pan da temu pokój, póki jeszcze czas, bo inaczej skończy pan w kryminale.

— A sprzedaliście już co? — spytał pan Tolek.

— Aha — odparła i trąciła tyłkiem drzwi, które się zamknęły.

Rozpięty na drzwiach wisiał blaszany Chrystus o żółtym ciele i w kąpielówkach w paski na biodrach.

— Troszkę z tym przesadziliśmy — przyznała się po chwili. — Teraz to widzę. Tam na rozstajach wisiał blaszany Chrystus, ale ząb czasu go nie oszczędził.

Gmina przypomniała sobie, że wypadnie taniej, jeśli nam zleci tę robotę. A ja od razu wiedziałam, że ten Chrystus będzie żółciutki jak gąsiątko i że będzie miał kąpielówki w barwach narodowych, rodzaj *tricolore*. Kiedy więc dali nam zaliczkę, pojechaliśmy do miasta do blacharza. Tam wybrałem sobie takiego chuderlawego czeladnika, powaliłam go na blachę, rozłożyłam rękę, obrysowałam go stolarskim ołówkiem, po czym wycięliśmy to i za dwa dni Chrystus już wisiał na rozdrożu. Tylko przesadziliśmy odrobinę. W ciągu sześciu dni ogółem sześć wypadków, tak się to kierowcom rzucało w oczy. Przede wszystkim te kąpielówki. A więc zdjęliśmy Chrystusa i musieliśmy zwrócić forszę.

— To piękne! — westchnął pan Tolek. — Ale skąd pani bierze takie pomysły?

— Są we mnie jak w kozie — odparła staruszka.

— I co będziecie państwo z tym robić?

— Gdy zamalujemy to wszystko — rozmarzyła się i oderwała wzrok od Tolka kierując się w stronę okna i patrząc na zachodzące słońce — kiedy będą już pomalowane wszystkie ściany, szafy i podłogi, to wycofamy się i ofiarujemy ten domek Muzeum Narodowemu. A oni niech nam w zamian dadzą inny domek, czysty. I my go znów pomalujemy. Tu zaś powinni zainstalować taki wyciąg krzeselkowy, aby ludzie nie zdeptali malowideł na podłodze... My przecież malujemy dla ludzi bezinteresownie, aby im sprawić przyjemność...

Z szafki pod zlewem wygramolił się pan Zerko, wyprostował się, ziewając i przeciągając ramiona.

— A tom sobie uciął drzemkę! — oświadczył i zawył.

Staruszka przystawiła sobie krzesło i zdjęła z szafy lampę naftową. Oczyszczyła knot, zapaliła zapalką

i nałożyła szkło. Kozłarz przeciągał się, a kiedy dojrzał wysunięty knot lampy, skamieniał w tej pozycji.

— Wie mamusia, co namaluję? — spytał wpatrując się uparcie w wysunięty lekko knot palącej się lampy naftowej. — Namaluję, jak cały szereg dziewcząt klęczy przed komunią: języki mają nieznacznie wysunięte, a pod brodą książki do nabożeństwa, namaluję także ministranta, który niosąc mszał spostrzega te dziewczęce języki i wypuszcza mszał, który padając rozdziera się na pół... oto co namaluję! — zawołał i nadal patrzył na wysunięty z obsady płomyczek i wciąż jeszcze stał nieruchomo z rękoma złożonymi za głową na kształt precla.

— No to wracamy do konia — powiedziała staruszka podciągając knot.

Rozstali się na podwórku przy rozplątanej kozie.

Kozłarz wspinał się po drabinie na rusztowanie, za nim zaś wędrowała osłaniana ręką staruszki lampa naftowa.

Agenci usiedli w rowie i czekali na autobus.

Lampa oświetlała całą ścianę, a ręka rysowała przednie nogi rumaka.

Drogą szedł jakiś człowiek prowadząc rower i ciągnąc na postronku czarno—białego pieska, który, ociągał się, ale otrzymawszy kopniaka, podbiegał do przodu. Na tylnym bagażniku roweru wisiał przywiązany pasami zabity pies, z nozdrzy kapłała mu krew...

Pan Bucefał podwinął rękawy, ale pan Antoni Uhde ujął go za łokieć.

— Hola, hola! — powstrzymał kolegę. — Pewne rzeczy należy pozostawić ich biegowi. Czy myślisz, że to dobrobyt skłania ludzi do jedzenia psiego mięsa?

Na końcu miasteczka znajduje się parkan, a na tym parkanie ciągnie się — na całej jego długości — napis:

LABORATORIUM TECHNICZNE DROGERII
„POD BIAŁYM ANIOŁEM”

— Halo, Bucefałku — odezwał się pan kierownik — każdy pośrednik rozpoczynając pracę musi zdać egzamin dojrzałości. A jakiego rzemieślnika najłatwiej załatwić?

— Drogistę — odpowiedzieli chórem agenci, panowie Wiktor Tuma i Tolek Uhde.

— A więc pójdziesz pan i zaproponujesz rentę właścicielowi kwitnącego laboratorium! Rentę... — powtórzył pan kierownik i podniósł palec. — W ogóle to słowo: renta! Trzeba umieć się nim posługiwać tak jak kobieta brylantową broszką... Renta, renta! Panowie, to trzeba wymawiać pieszczotliwie tak jak matka, kiedy igra ze swoim dzieciątkiem, jak kochańek, kiedy szepce kochance umówiony szyfr najpiękniejszego dowodu miłości... trzeba to słowo odpowiednio artykułować... A teraz mówię poważnie: ponawiajcie wciąż w domu — przed lustrem — próby właściwej wymowy tego słówka: renta! Jakbyście sami chcieli siebie ubezpieczyć... Renta, istota rzeczy niewidzialnych, rękojmia szczęśliwej przyszłości... A teraz, panie Bucefale, może pan iść, a my będziemy patrzeć na pana przez dziurkę po sęczku.

Gdy podeszli do furtki, pan kierownik zapukał.

Ktoś zbliżał się wołając:

— Proszę mi nie dotykać rękoma tych rzemieni!

Pan Bucefał załomotał pięścią.

— Puście parę do trzeciego kotła! — wołał głos.

Pan Bucefał przyłożył oko do dziurki po sęczku, ale z drugiej strony ktoś przyłożył do tego samego otworu badawcze oko.

— Kto tam? — spytał głos.

— Tu agent towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość” — odparł pan Bucefał.

Furtka uchylila się i wyszedł usmolony mężczyzna w długim fartuchu z kopyścią w rękę

— A tu laboratorium drogerii „Pod Białym Aniołem”. Proszę dalej, właśnie przyuczam swojego nowego pomocnika — wyjaśnił mężczyzna i pan Bucefał wszedł za parkan.

Stary mężczyzna pompował wodę do kadzi.

— My, drogiści — mówił właściciel — jesteśmy po trosze męczennikami. Tę oto rękę, drogi panie, mam poparzoną od czasu, kiedy prowadziłem doświadczenia związane z produkcją „Tańcolinu”, znanego i cenionego powszechnie wosku do parkietów. Zajął się kocioł parafiny i wybuchł! Coś cudownego! A moja ręka paliła się jak w Starym Testamencie. Bo takie laboratorium techniczne to niemal instytut naukowy.

— A co z pańskimi oczami, szefie?

— To pamiętka z czasów, kiedy produkowałem likier myśliwski — tłumaczył drogista. — Dawalo się półtora kilograma esencji myśliwskiej, dwadzieścia gramów fiołkowej, a następnie czterdzieści litrów spirytusu, trzynaście litrów syropu i trzydzieści trzy litry wody. A mimo wszystko zajęło się nam to i pokrywa tak mnie trzepnęła po głowie, że pozostał mi po tym uderzeniu taki kiksik w oczach. Kiedy w domu czytam wieczorami literaturę techniczną, muszę usiąść

na krzesło, książkę położyć na stole, a patrzeć w kąt. Krótko mówiąc, jeśli chcę czytać, muszę spoglądać jakby gdzie indziej. Rzecz jasna, uprawiając drogistykę eksperymentalną nie można dać się zrazić drobiazgami. A co mi pan przynosi, proszę pana?

— Rentę — oświadczył pan Bucefał patrząc na gałęzie drzew.

— To czereśnie — mówił właściciel. — One także są ofiarą nauki. Kiedy na przykład mamy maj, te drzewa obchodzą już listopad. A dzieje się tak od czasu, kiedy wyrabiamy tu znaną na całym świecie trutkę na szczury marki „Morol”. Ledwie czereśnie wypuszczą listki, już są suche niczym tytoń, tak skuteczny jest ten chlorek baru.

Pod płotem podniósł się chwiejnie ogromny dog, równie wyleniał jak te czereśnie. Suka, podszedłszy, zaczęła lizać ręce swego pana.

— Tak, tak, Anito! — Drogista pogłaskał zwierzę. — „Morol” służy ludzkości! Ogromnie mnie zawsze wzruszało, kiedy czytałem, jak przed wiwisekcją okaleczone psy lizały posługaczom ręce... A więc i ciebie, Anito, ogarnęło złe przeczucie, że zabierzemy się do pracy? Nie ma rady! Tak, proszę pana, to dog z Bordeaux. Kupiłem go w Bydżowie i na dworcu w Chlumie, gdzie musiałem się z nim przesiąść, skoczyłem do restauracji na piwo, a to zwierzę przywiązałem do pompy. Patrząc oknem, a tu ludzie uciekają w popłochu... A to po prostu to zwierzę zatęskniło za mną, wyrwało więc całą pompę wraz z tą ośmiopudową pokrywą i przyciągnęło do mnie do restauracji. Panie Józefie, to naprawdę bardzo miło, kiedy człowiek ma takie urocze zwierzątko — dodał właściciel.

• — Skądże znowu! — wykrzyknął pomocnik. — Szedłem pewnego razu od dziewcząt z burdelu... Z willi wydostały się podkopem trzy dogi, Pola, Anita i Alżig, każdy bydlak ogromny jak cielę, zaciągnęły mnie do budy i do rana leżały na mnie warcząc mi prosto w nos.

Właściciel wszedł do komórki i zaczął wozić na teczkach zatęchłą mąkę.

— To tylko dlatego, że dogi to zwierzęta skłonne do igraszek — wyjaśnił. — A takie bernardyny? Iluż to ludzi ocaliły od białej śmierci!

— Ale gdzież tam! — rozgniewał się pomocnik. — Kiedy byłem na ćwiczeniach wojskowych w Jasenikach, jakaś kobieta na nartach zaginęła w tych zaśnieżonych górach. Poszliśmy więc jej szukać z dwoma bernardynami. Pod Pradziadem zgubił się nam chorąży, a w sierść bernardynów tyle śniegu się ponabijało, że musieliśmy je nieść na kocach. A każde z tych bydłał ważyło co najmniej pięć pudów, a do tego jeszcze ze dwadzieścia kilogramów sopli. Nieśliśmy je przez ten śnieg niczym fortepiany. W koszarach zaś lekarze musieli robić psom okłady, bo dostały gorączki. A chorążego nigdy już nie odnaleźliśmy, ta baba natomiast, co się zgubiła, wróciła nad ranem ciągnąc za sobą narty... Miała dobrze po sześćdziesiątce i mówiła, że wyszła tylko tak sobie, na przechadzkę pod Pradziada...

Właściciel drogerii pochyliwszy się do agenta szepnął:

— Muszę go troszkę poirytować. Kiedy jest zdenerwowany, lepiej mi tu pracuje.

— Naprawdę? — zdziwił się pan Bucefał. — Ale, ale, panie szefie, mówi pan takim głosem, jakby się wydobywał z piwnicy. Gardło panu dokucza?

— Mam troszkę poparzoną krtań... Napilem się raz lizolu zamiast rumu — przytaknął właściciel. — Od dziesięciu lat stoi obok mojego łóżka butelka rumu z winietą lizolu, aby mi dzieci tego nie piły, tak jak ja podpijałem swojemu ojcu, kiedy byłem mały. Ale żona mi tam postawiła przez pomyłkę prawdziwy lizol a ja zorientowałem się dopiero wówczas, kiedy przełknąłem już ze trzy łyki. Tak to już jest! Drogista, jeśli mu nie brak kilku palców albo nawet całej ręki, czy też nie noszący innych śladów po doświadczeniach, w ogóle się jako fachowiec nie liczy... Będąc na pana miejscu, panie Józefie, kupiłbym sobie małpkę!

— Też pomysł! — krzyknął pomocnik, kiedy doszedł do wniosku, że za tych kilka koron, jakie zarobił, rozpada się już na nim ubranie. — Na małpy nawet patrzeć nie mogę. Ten idiota Blechtin, z którym byłem na wandrze w Ziegelhalsie, kupił tam sobie na pamiątkę szympansa. Kiedy wróciliśmy do domu, zamieszkał z tą bestią. A że należał do „Sokoła”, co rano ćwiczył mięśnie za pomocą ekspandera.

— Szympans? — spytał drogista.

— Skądże znowu! Ten idiota Blechtin. Jego szympans, to bydlę, robił to samo, ale posługując się szelkami. Pewnego razu przychodzi ja z wizytą do Blechtina, a on, ten idiota, zwraca się do mnie: „Masz tu ekspander i poćwicz sobie mięśnie!” Wziąłem więc ekspander, ale ta bestia, szympans, chwycił z drugiej strony za poniklowaną rączkę i zaczęliśmy sobie ekspander wyrywać, a kiedy był już naciągnięty do ostatecznych granic, ten skurwysyn szympans puścił i poniklowana rączka wyrznęła mnie w nos, tak że przez trzy dni gwiazdy stały mi przed oczyma. Małpkę! Jeszcze czego!

Dog z Bordeaux zawlókł się w najdalszy kąt parceli i zaczął wyć.

— To poczciwe zwierzę zna na pamięć proces produkcji „Morolu” — powiedział drogista podnosząc worek zatechłej mąki.

— Szefie — podjął pan Bucefał — proszę pomyśleć o rencie. Co kto panu da, kiedy te drogocenne ręce nie będą już mogły pracować?

— Cierpliwości — odparł właściciel i zaczął sypać mąkę do kadzi. Wzbił się obłok żółtego pyłu i przysłonił całą parcelę.

— Śmierdzi to jak psie łajno! — krztusił się pomocnik.

— Tak powinno być — cieszył się drogista. — A kiedy pan to trochę rozmiesza, dodamy trzy garnki zjełczanego łoju, aby ta mieszanka nabrała właściwego smaku. Panie z ubezpieczalni, gdzie pan jest? Aha, tam. A więc niech pan się mocno trzyma pompy, ja zaś panu powiem, jaki jest przepis. Niektóre firmy dodają do trutki na szczury arsenu. Ja jednak wolę węglan baru, który szczury zjadają jak przysmak. Ten węglan dopiero w żołądku przemienia się w chlorek baru, który powoduje śmierć! — rozlegał się z chmury pyłu radosny głos drogisty. — Ale trwało sporo czasu, zanim wynalazłem właściwą syntezę. Zaraz na początku otrułem w majątku dwie świnie i stado kur. Następnie przez parę miesięcy klienci pisali do mnie listy z pogroźkami, że szczury po „Morolu” wyglądają coraz lepiej... A teraz? Jedynie i wyłącznie listy pochwalne i odznaki honorowe...

— Ależ smród, jakby dziekanowi brzuch pękł! — krztusił się pomocnik w obłokach pyłu.

— Na pana miejscu, panie Józefie, hodowałbym kozę — kusił drogista.

— Ależ ja tam żadnej kozy nie pragnę, jeszcze by mi rentę cofnęli, że robię jakieś głupstwa.

— Ale miałby pan za to mleczko. Pracuje pan nad truciznami...

— Gdzie tam! Koza to potwór. Podrzuci tyłkiem i wylecę z chlewika razem z garnkiem, bo się okaże, że mam za zimne ręce. A poza tym ja już kiepsko widzę i o zmroku w ogóle bym tej kozy nie znalazł. I ręce mi się trzęsą...

— W takim razie doiłby pan znakomicie! — powiedział drogista wychodząc z obłoku pyłu i zanurzając się w komórcę, skąd przyciągnął za ucho pierwszy sagan ze zjełczałym łojem. Widząc to dog z Bordeaux zawył jeszcze głośniej i podał łapę.

— No dobrze, jak nie kozę, to jednak dobrze by mieć krówkę. Cóż by to była za radość! Jakie mleczko! — mówił drogista widząc, że pomocnik miesza w kadzi coraz wolniej.

— Też pomysł! — ryknął pan Józef i ze złości zaczął szybciej poruszać kopyścią. — Z krową to dopiero są kłopoty! W domu mieliśmy łaciatą, piękną krowę, szwajcarska rasa jak wszyscy diabli, i kiedy chodziłem z nią do byka, to ciągnęła mnie za sobą jak na saniach, mimo że miała pysk ściśnięty łańcuchami. Z krową to same strapienia! — krzyknął pomocnik zwiększając jeszcze szybkość mieszania. — Przeprowadzam ja pewnego razu tę naszą łaciatą do byka, ale gospodarza nie było w domu, więc wypuściła mi tego byka jego córka, śliczna dziewczucha. Byk jednak pomieszał sobie mnie z krową i rzucił się na mnie, przebrnął w bród gnojówkę i kiedy elegancko przeskakiwał nad dyszlem

wozu drabiniastego, zawadził o ten dyszel przednimi nogami i wywinął koziołka, tak że ta córka, ślicznotka, obawiała się, czy aby podczas tego upadku byk sobie nie złamał swojej drogocennej pały. W owych czasach, kiedy świnia się rozchorowała, kładziono ją do łóżka, a kiedy zdychała, to wszyscy rozpaczała, tak jakby im dziecko w rodzinie umarło. Więc ten półtonowy byk podniósł się, ale ja już dzielnie siedziałem na dachu... Byk wsparł się przednimi nogami o ścianę i rogami strącał dachówki, sapiąc przy tym jak maszyna parowa... A pan mi mówi... krowę!

— Oto i wszystkie sagany — oświadczył drogista. — A teraz najwyższy czas wlać ten poźółkły łój do kadzi! — Mrugał wesoło do agenta i pochylając się nad kotłem pociągał nosem i mówił rozmarzony: — To przyda syntezie właściwego aromatu.

Powiedziawszy to wlał do kadzi zjełczały łój. Pomocnik szybko mieszał kopyścią, a mdły odór unosił się z serca parceli i z wolna przenikał dalej, przekraczał płoty i ogarniał coraz to nową przestrzeń. I nadszedł czas, że na sąsiedniej parceli — gdzie miał domek pan Alfred Piwonia, który przez ćwierć wieku wywoził zawartość miejskich ustępów i który odziedziczył ogromną katarynkę — że na owej parceli ta katarynka odezwała się potężnym rykiem.

Działo się tak zawsze, że ilekroć laboratorium techniczne drogerii „Pod Białym Aniołem” zaczynało produkować trutkę na szczury marki „Morol”, pan Alfred wyciągał katarynkę na podwórko i zaczynał grać tę samą piosenkę: „Jestem praski cwaniak...” A kiedy grał ją po raz piąty, właściciel podchodził do płotu i krzyczał:

— Panie Piwonia, słyszy mnie pan?

— Nie słyszę, ale czuję — mówił sąsiad, a że bolała go już ręka, kręcił korbą katarynki drugą ręką.

— Panie Piwonia! Niech pan zaniecha tego grania. Kto ma tego słuchać? — krzyczał drogista.

— Racja, ale pan zaczął pierwszy!

— Panie Piwonia, złożę skargę w izbę handlowej.

— Może pan składać skargę, choćby w umywalni przy piątym kranie — wołał pan Piwonia, raz jeszcze grając tę samą piosenkę „Jestem praski cwaniak”... i wrzeszczał: — Pan do mnie z tym pańskim gównem na szczury, a ja do pana z katarynką.

— Panie Piwonia! Zastosuję represje. Oko za oko!

— A ja za oko: dwoje oczu, a za ząb: całą szczękę!

— Co? Co?!! — zawył drogista. — Panie Piwonia, jeśli ludzkość choć troszkę osłabi walkę z naturą, szczury pana zjedzą razem z tą pańską katarynką.

Ale pan Piwonia wiedział swoje i obracał korbą katarynki, jakby to był wentylator, mogący rozpędzić ten okropny fetor.

— Ach, jakże ci ludzie wciąż jeszcze mało są uświadomieni — uzalił się drogista.

— Istotnie i dlatego sędzę — powiedział agent — że pan żadnej renty nie potrzebuje.

— Skądże pan może wiedzieć, czego ja potrzebuję, a czego nie potrzebuję? — zezował drogista.

— Myślę, że taka renta to rzecz nie dla pana. Panu wystarczy, jeśli pan będzie miał straganek z barwnikami anilinowymi i...

— Co mi pan będzie radził, co mam mieć, a czego nie! A jeśli zechcę mieć rentę, to co?

— Myślę...

— Niech pan przestanie myśleć. O tych rzeczach myślę tutaj ja! — zawołał właściciel. — I ja chcę mieć rentę.

— Ale to kosztuje niemało pieniędzy — oświadczył pan Bucefał.

— Czyżbym wyglądał na przedsiębiorcę, który splajtował? — irytował się drogista. — Ja chcę mieć rentę i pan mnie zapisze. I pragnę otrzymywać rentę w wysokości... no powiedzmy, tysiąca pięciuset koron.

Pan Piwonia po raz dziesiąty zaczął grać na katarynce i śpiewać jej do wtóru:

*Jeden praski cwaniak,
Żadna mi nie wżbrania...*

Nagle ktoś zaczął walić w płot, dog z Bordeaux przestał wyc i skoczył na parkan zezując błękitnym okiem na drugą stronę.

Pan Bucefał wpisał do deklaracji imię i nazwisko.

— Bandyci! Bezbożnicy! — krzyczał ktoś za parkanem. — Kto to ma wachać?

— Nic na to nie poradzę! — krzyknął drogista.

— Mam na ten środek patent.

— Cholera! Najtrudniejszy problem to rozumieć Boga jako źródło wszelkiego zła, ale to, no to już przekracza chyba nawet granice boskich zamierzeń! — darł się i pienił głos za płotem i przy każdym słowie rozlegało się uderzenie kijem w deski.

— Urodzony? — spytał agent.

— Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt pięć... — odpowiedział drogista. — To z pewnością adwentysta Góraczek. Panie Góraczku, to my jesteśmy tym koniecznym złem.

Pan Góraczek przestał walić kijem w parkan i wołał:

— Napisane jest w Biblii, że przyjdzie zgorzenie, ale, panowie, ja się w domu dławię... Ten wasz

„Morol” przenika przez ściany. Niewidzialny kroczy przez miasto.

Katarynka na podwórzu pana Piwonii ucichła, aby natychmiast rozedrzyć powietrze po raz jedenasty tą samą piosenką: „Jestem praski cwaniak...” A dog z Bordeaux skakał i modrym oczkiem zezował na drugą stronę, gdzie pan Góraczek zamyślił się z palcem przy ustach i z kijem w drugim ręku.

— Ludzie złoci, już pojąłem! — wykrzyknął. — Teraz mi się objawił podział ról na świecie! Jednym jest przeznaczone... Jesteście tam?

— Jesteśmy — odpowiedział głośno drogista.

— Jednym jest przeznaczone oddychać czystym powietrzem, innym zaś dusić się w smrodzie. A ja należę do tych drugich. Jesteście tam, przyjaciele? — adwentyście udało się przekrzyczeć katarynkę.

— Jesteśmy! — odkrzyknął drogista.

— Proszę mi to podpisać, o tu! — Agent wskazywał palcem.

Pan Góraczek nadal ryczał z entuzjazmem:

— Teraz to pojmuje jeszcze głębiej. Ów niewidzialny Kościół, do którego i ja należę, musi połykać grzechy świata. I wy, i ja — jesteśmy żywym na to przykładem. Ludzie złoci, urodziłem się ponownie. Ponownie zjawiłem się tu, na tym świecie.

Tak bełkotał adwentysta i olśniony światłością poznania spostrzegł, że wzdłuż płotu chodzi dziewczynka z białą kokardą we włosach i gra na skrzypcach przy wtórze katarynki: „Jestem praski cwaniak...”

Była to córeczka z domu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, z ostatniego domku, ostatnie dziecko rodziny Hildebrandtów, rodziny, której nic nie mogło wyprowadzić z równowagi, bo we wszystkim widziała

dobry znak dla siebie, dobrą wróżbę... Kiedy pan Piwonia grał na katarynce, pani Hildebrandt natychmiast wciskała dziewczynce skrzypce do rąk i posyłała ją na ulicę ze słowami: „Różyczko, idź i ucz się, i przyzwyczajaj do grania z wielką orkiestrą...”, chociaż Różyczka grała dopiero pierwszy zeszyt *Szkoły na skrzypce...*

Tak więc dziewczynka z białą kokardą i skrzypcami pod brodą, o pięknych wylęknionych oczach, chodziła wzdłuż parkanu i grała: „Jestem praski cwaniak...”, a jej mamusia marzyła w oknie, jak to kiedyś Różyczka będzie grała w sali imienia Smetany przy akompaniamencie Czeskiej Filharmonii...

Pan Góraczek patrzył na dziewczynkę jak na zjawę.

— Przyjaciele — wołał — chodźcie no tu!

— Co tam? — wykrzyknął drogista. — Zaczynamy właśnie pracować nad klarowaniem „Morolu”.

— Rzućcie wszystko — błagał pan Góraczek — i chodźcie tu natychmiast. Zaklinam was na miłość boską!

Przystawili skrzynie, oparli się o parkan.

Pan Bucefał i drogista spoglądali w dół, gdzie kołysała się kokarda we włosach dziewczynki.

— Pięknie gra — zauważył drogista. — Z uczuciem.

— To już chyba nie może być inaczej! — szeptał adwentysta. — W samym Bogu musi istnieć jakaś czarna przepaść, na której dnie leży złoty pierścionek. Różyczko, ty jesteś pierścionkiem na dnie przepaści... — powiedział pan Góraczek i pogłaskał dziewczynkę, która podniosła ogromne, nad wiek mądre oczy...

Potem, kiedy pomocnik siedział apatycznie na pompie i patrzył na rozpryskujące się krople „Moro-

lu”, a właściciel nalewał mieszankę do kilowych puszek blaszanych, pan Bucefał pożegnał się.

— Pieniądze, które od pana otrzymałem, to składka za trzy miesiące z góry i pięćdziesiąt koron wpisowego. W innych sprawach prześlemy panu informacje drogą korespondencyjną za pośrednictwem poczty — oświadczył agent i ukłonił się.

Szedł wzdłuż parkanu, poprzez który ciągnął się aż do końca napis:

LABORATORIUM TECHNICZNE DROGERII „POD BIAŁYM ANIOŁEM”

— Oto świadectwo maturalne — powiedział za rogiem podając panu kierownikowi deklarację.

Ten jednak, wsparty obu rękoma na płocie, kręcił głową, po czym zaczął tłuc pięściami w deski i spoglądać w niebo.

Pan Wiktor leżał na wznak w trawie i potrząsając rękoma i nogami pojękiwał z cicha.

— Stało się coś? — przestraszył się pan Bucefał.

— Jesteś pierwszym ubezpieczeniowcem w „Spokojnej Starości”, jakiemu udało się załatwić drogistę — wyjaśnił Tolek.

7

W złocistą różowość wieczoru płynął z karczmy męski śpiew, któremu towarzyszyły bęben i harmonia. Kilka kobiet przesuwano się w cieniu bzów. Na bursztynowym widnokresie wznosił się mur cmentarny.

Dwie kobiety przyniosły drabinę i ponad firanką zaglądały do wnętrza gospody.

— Bożenko, widzisz? Twój stary zalał się już w trupa!

— A ma na sobie nowy surdut! Ach, skąd, na miłość boską, w tych włóczęgach biorą się takie arystokratyczne maniere?

Z korytarza karczmy wybiegła niewiasta trzymając się za policzek.

— Ledwie rok po ślubie, a już mnie po gębie pierze — poskarżyła się.

— Czy ktoś wygrał milion? — spytał agent, pan Tolek Uhde.

Niosąca drabinę bosa kobieta zauważyła:

— Od razu widać, że pan nietutejszy. To tylko nasi mężowie urządzają sobie „poszumawski wianuszek”.

— Jezus Maria! — wykrzyknęła kobieta, która stanęła na ramie roweru. — Ten mój przepija tam wszystkie pieniądze i znów przez cały miesiąc dzieci będą jadły chleb posmarowany metką albo marmoladą.

— A dokąd pani idzie z tą drabiną? — zagadnął pan Tolek.

— Na mur cmentarny. Aby się pogapić.

— Weźmie mnie pani ze sobą?

— A kto pan jest?

— Agent z towarzystwa ubezpieczeniowego..

— Bardzo mi przyjemnie. A ja jestem dozorczynią z dawnych książących stawów — ukłoniła się i plasnęła bosą stopą.

— Nie kłuje panią?

— A nie kłuje. Mogę chodzić boso nawet po ściernisku — pochwaliła się kobieta i przystawiwszy drabinę wspięła się na mur.

— Proszę siąść obok mnie — zaprosiła. — Będziemy patrzeć do środka gospody. Tam pod lustrem siadywał książę pan i spoglądał na ten oto mur,

a myśl o cmentarzu wywoływała w nim chęć do picia. Nasi ludzie nauczyli się tego od księcia. Skoro tylko chłop zaczyna w domu mówić: „I cóż ma człowiek na tym świecie? Dziś jeszcze jest tu, a jutro może już być za tym murem!”, to baba od razu w płacz, bo tak samo mawiał nasz książę pan, po czym stawiał całej karczmie.

— Hojny to musiał być pan! — uśmiechnął się pan Tolek.

— Jeszcze jak! Pewnego razu przez otwarte okno wskoczył do szynku na koniu, kazał sobie podać sznapsa i nie zsiadając z konia wyskoczył przed karczmę. Boguś od Karasków chciał zrobić to samo, ale zawadził czołem o futrynę. Tam go pochowano... — wskazała kobieta.

Patrzyli w głąb gospody, gdzie stali ogorzali chłopci z podwiniętymi rękawami. Podnosili ręce, krzyczeli, jeden drugiego obejmował w pól, patrzyli sobie długo w oczy, po czym całowali się po staroświecku, składali sobie życzenia, padali sobie w ramiona i klepali się nawzajem po plecach, a następnie garnęli się do szynkwasu.

— To księcia pana kochali tutaj tak bardzo?

— Jeszcze jak! — zawołała dozorczyńni stawów. — Książę pan miał zasadę: „Kradło się, kradnie i będzie się kradło. Ja jednego tylko wymagam: aby kradło się z umiarem!” Ten tam, co leży twarzą w piwie, to książęcy bękart.

Pijany człowiek leżał pośrodku gospody, dwaj chłopcy lali nań ciurkiem piwo z kufła. Pijak przebudził się, nadstawił rękę, najpierw grzbietem, potem dłonią, wymamrotał: „Pada deszcz!”, zadowolony położył się twarzą w rozlanym piwie i spał dalej.

— Poczekajcie tylko, wy dwaj gówniarze — krzychała kobieta z drabiny. — Nie widzicie, że ma na sobie nowy surdut?

Karczmarz, mokry od piwa i potu, roznosił piwo: w każdej ręce po dziesięć kufli niczym zapalone żyrandole. Chłopi przysuwali podstawki i karczmarz wyciągnąwszy zza ucha ołówek znaczył kreski, a harmonista odwracał głowę, dobosz zaś walił pałką w ogromny bęben.

— To piękny mężczyzna, ten w niebieskiej koszuli — powiedział pan Tolek.

— Ten, co właśnie skończył pić z kamasza? No tak, to aptekarz z miasteczka. Jak ma tylko wolne, natychmiast się tu zjawia, ale z arystokracją nie ma on nic wspólnego. Ach, wiele czasu musiało upłynąć, zanim się uspokoił. Najpierw przepił posag swojej żony, później wypił pacjentom wszystek koniak, spirytus i wino... i wciąż nie mógł znaleźć spokoju, nie mógł się ciągle przyzwyczaić do małego miasta, bo pochodził z Pragi. Dopiero pewna baba—zielarka dała mu dobrą radę: aby podczas jarmarku albo odpustu przyjechał tam na rowerze i wykrzyknął najbardziej plugawe słowo. I on to zrobił. Za pierwszym razem zemdłał, kiedy spostrzegł, iż cały targ na niego, na pana aptekarza patrzy... Ale kiedy drugi i trzeci raz wykrzyknął na rynku to sprośne, plugawe słowo, to jakby ta tęsknota z niego opadła. To największy przystojniak w okolicy, ale nie ma w sobie ani kropli błękitnej krwi. Jedyne, co ma błękitne, to ta koszula. A widzi pan tego, co spadł pod stół, a teraz się podnosi?

— Tego brzydala?

— Tak, tego! — potwierdziła niewiasta. — To bękart książęcy, znakomity skrzypek, który żyje z tego, że nie gra. Ledwie podniesie skrzypce pod brodę, już mu ludzie dają pieniądze na odczepne, byle tylko nie grał. Ja zaledwie raz słyszałam, jak grał, i dostałam pokrzywki. A psik! — kichnęła kobieta i wysiąkała nos

w rękę, po czym strząsnęła smarki na grobowiec.
— Ten muzyk wyprzedził o trzy pokolenia swoją epokę, tak okropnie gra... A nazywa się Habasków Józio.

— Pssst... Nic pani nie słyszała? Jakby ktoś gdzieś szeptał — zauważył nagle pan Tolek.

— Ależ to głosy niosą się znad wody! — zaśmiała się dozorczytni stawów. — Koło lasu dębowego dziewczuchy się kąpią, a to dobry kilometr stąd... słyszy pan? Opowiadają sobie o chłopakach... Słyszy pan? I tatarak szumi z dalekiej oddali... Ptaszek obudzi się, Bóg jeden wie gdzie, a głos jego woda niesie aż tu, jakby to panu w głowie się przebudził. Woda i powiew wzmacniają głosy niczym głośnik...

Pod murem cmentarnym dwie kobiety załamywały ręce opowiadając o czymś otyłemu mężczyźnie w czerni.

— To nasz ksiądz proboszcz — informowała niewiasta. — Miał zaszczyt spowiadać księcia pana.

— To dobrze, że ksiądz tu idzie — ucieszyła się kobieta na drabinie. — Niech ksiądz tam pójdzie i przekona ich. Bo przepiją wypłatę, a potem jeszcze meble porąbią.

— Uciszcie się, niewiasty — powiedział ksiądz proboszcz, ale kiedy dobiegł go śpiew, westchnął. — Wszystkiemu winien ten nieszczęsny słowiański charakter.

— I chałupy podpalą na koniec — dodała kobieta, która stała na ramie roweru.

— Jedno wiąże się z drugim — oświadczył proboszcz. — A do tego jeszcze rozpusta.

— To prawda — zgodziła się jedna z kobiet. — Ten mój, kiedy się już, księżu proboszczu, wyhula, do czegoż on mnie nie zmusza... Każe mi...

— Tego mi tu nie wyciągajcie! — oburzył się proboszcz. — Tajemnica waszych łóżnic małżeńskich to tajemnica boża. Macie obrazek święty nad łóżkiem?

— Mamy, ale cóżz tego, kiedy on, byk jeden, wciąż...

— Cicho! — Ksiądz tupnął nogą. — Powinnaście, Mroczkowa, częściej do spowiedzi chodzić i komunię świętą przyjmować.

Z gospody rozległ się potężny śpiew:

Kiedy miałam szesnaście lat...

— Księżu proboszczu, proszę tam iść — prosiła kobieta stojąca na ramie roweru. — Ten mój to później odchoruje, trzy dni będzie leżał...

— Nie wiem... Nie wiem... — Ksiądz proboszcz wahał się. — Nie chcę rzucać pereł przed wieprze... Ale co czynił Chrystus Pan? Siadywał z celnikami i jawno-grzesznicami — dodawał sobie odwagi.

Po chwili jego czarna postać zniknęła w korytarzu i pojawiła się w gospodzie wśród chłopów, którzy wyli wniebogłosy, trzymali się wpół i gestykulowali wolnymi rękami. Ksiądz proboszcz wlaź na krzesło, położył rękę na czarnym surducie, drugą zaś z wolna wskazywał niebo... Ale ktoś strącił go z krzesła.

— Ale mu dał po gębie! — stwierdziła z uznaniem dozorczytni stawów.

W korytarzu pojawił się ksiądz proboszcz. Trzymał się za policzek.

— A co, nie mówiłem? — spytał.

— Księżu proboszczu, co mamy robić? — wołała kobieta z drabiny.

— Idźcie tam! — radził proboszcz.

— Żeby tak jak ksiądz dobrodziej dostać po pysku?

— A więc idźcie sobie do domu i pomódlcie się — powiedział ksiądz odchodząc.

— Księżę proboszczu! — zawołała dozorczyńni stawów. — Namalowali księdzu coś paskudnego na plecach.

Ksiądz zdjął listrowy surdut, rozpiął go, spojrzął na ogromny romb narysowany kredą i pokręcił głową.

— No nie wiem, nie wiem, ale to pokolenie nie pójdzie chyba drogą Chrystusową.

Strzepując dłonią ślady kredy oddalił się z wolna, a jego koszula lśniła bielą.

— To poganie! — krzyknął wkładając rękę do rękawa. — Armagedon! — Włożył drugą rękę do rękawa. I odszedł trzymając się za policzek.

— Kto go uderzył w twarz? — spytał pan Tolek.

— Bękart książęcy, pan Kacper Krupa, widzi pan jego szlachetny profil? — wskazywała dozorczyńni stawów. — Ludzie mawiają o nim, że wygląda jak prosię trzy razy ogłuszane... ale to dlatego, że studiował. Nad łóżkiem powiesił sobie napis: „Bądź silny!”, i co rano otwiera okno i prosto z łóżka skacze strzałką do basenu... Ha, ha, ha... Pewnego razu upił się i spał w mieście w gospodzie... Rano, kiedy się obudził, otworzył okno i strzałką skoczył na bruk placu i złamał sobie rękę! — śmiała się kobieta.

— A w zimie?

— W zimie nie skacze, ale kąpie się w ogrodzie jak książę pan. Pewien sąsiad wychuchał sobie otworek w zamrażniętej szybie i patrzył do ogrodu Krupów... I co widzi? Kacper stoi nagi przy basenie i polanem rozbija lód, a potem hop! do wody. Sąsiad od tego patrzenia kataru dostał. Kacper Krupa wyznaje widać tę samą zasadę co jego ojciec, książę pan: „Człowiek

powinien karać ciało, a nie ciało człowieka” — opowiadała niewiasta, po czym wysmarkała się w rękę wydając przy tym odgłos, jakby to kogut zapiął: kukuryku!

— Na miłość boską, tam przecież jakiś chłop tańczy po stole w gaciach — przestraszył się pan Tolek.

— To nasz nauczyciel.

— Także bękart?

— A jakże! Bardzo go sąsiedzi lubią, bo kiedyś powiedział, że gdyby miał córkę, a ta córka dostałaby malarii i umarła, to on, gdyby miał rewolwer, to chybaby się z żalu zastrzelił... I od tej chwili kiedy to powiedział, nie pije już, ale chła, każdy mu to jednak skłonny jest wybaczyć, bo nikt by nie potrafił, gdyby miał córkę i gdyby ta córka zachorowała na malarię... — Dozorczyńni stawów machnęła ręką i dodała: — Nazywa się Krzysztof Jaworek, a jego mamusia była dójką u księcia pana, wie pan?

— Tak, ale czy ten ogromny chłop, co wyciera czupryną powałę, to także bękart?

— Skądże znowu! To olbrzym. A książę pan miał wszystkie dzieci z jakąś arystokratyczną wadą. Jedno oko niżej! — Dozorczyńni stawów wskazała na siebie. — Krzywa łopatką, gębusia jak tasak do rąbania tureckich słodczy, upodobanie w rozpuście i tak dalej... A to jest pan Szyharcki, gra mięśni, mężczyzna, który pokazywał swoje ciało w tygryziej skórze na jarmarkach i na odpustach. Występował na podium i mówił: „Panie i panowie, gra mięśni wymaga ogromnego wysiłku”, a więc my kobiety, wchodziłyśmy na podium, kupowałyśmy mu pęto kiełbasy i posyłały kogoś z wiaderkiem po piwo, sadzałyśmy pana Szyharckiego na skrzyni, a on jadł kiełbasę i pił piwo, opowiadając przy tym, jak się który mięsień nazywa

i do czego służy, my zaś, kobiety, dotykałyśmy ciekawymi rękoma tej jego gry mięśni. Mnie mój mąż nieboszczyk przyłapał, kiedy wkładałam rękę pod tygrysią skórę...

— Przyszło mi na myśl pytanie: ile też książę pan miał tych bękartów?

— ...i pomacał mnie biczyskiem, tak że aż zemdlałam. Pyta pan, ile miał bękartów? Ogółem sześćdziesięcioro — odpowiedziała dozorczyni stawów.

— Ile? — przeraził się pan Tolek.

— Ogółem było nas sześćdziesięcioro siedmioro. Piętnaście umarło, żywych jest nas więc pięćdziesięcioro dwoje... — mówiła niewiasta odwracając głowę profilem.

— A więc i pani ma także w żyłach błękitną krew?

— Ma pan ten zaszczyt — przyznała się i zgiętym palcem wskazującym przycisnęła dziurkę w nosie i elegancko się wysmarkała. — Książę pan wiedział bowiem, co to prawdziwa kobieta i gdzie jej szukać. Większość bękartów płci obojga miał z córkami i żonami gajowych, rybaków i chłopów. A o każde dziecko zawsze postarał się, zadbał. Ale najbardziej to kochał dziewczęta od krów. Co i raz zląził z górki w oborze, ze słomą we słowach, a nawet z łajnem. Mnie książę pan począł z moją mamusią w sieczce. A z drugiej strony... Książę pan władał biegle pięciu językami, a przy jego stole zasiadali sami wybitni artyści. Ale niewiasty lubił proste, najchętniej wprost od krowich ogonów. Opowiadano o księciu panu, że pewnej dziewczuchy zapragnął na kupie gnoju tak bardzo, że ją tam przewrócił i posiadł, choć jedną rękę miał w gnojówce, a i włosy też sobie w tym świństwie zamoczył, ale nie ustąpił. Do tego stopnia kochał prosty lud... a potem wracał do

zamku, upačkany w tym gnoju — to już mówił pokojowiec — patrzył na swoje odbicie w lustrze i rozmazując sobie ten gnój po całej twarzy krzyczał: „Ziemi dotknąłem!”

— A jak się pani czuje jako dziecię z nieprawego łoża?

— To bardzo miłe — odparła rybaczka obejmując sobie rękę w przegubie — ta świadomość, że w moich żyłach płynie krew księcia pana. A jakże on potrafił ocenić dobry pomysł! Pewnego razu szedł w Sylwestra z hotelu „Na Książęcym”, a była taka gołoledź, że kilka razy poślizgnął się i upadł. A moja mamusia szła właśnie z Domu Katolickiego. Kiedy to zobaczyła, pobiegła z powrotem, pożyczyla gdzieś trzy obrusy i kładła te obrusy księciu panu pod nogi, podnosząc je szybko, ledwie tylko po nich przeszedł, i rozpościerała znów przed nim dopóty, dopóki nie znalazł się w zamku. Nawet na łożu śmierci o tym pamiętał. Umierając widział przed oczyma moją mamusię, jak rzuca mu pod stopy te obrusy, aby nie ślizgał się na gołoledzi... — W oczach dozorczyni stawów błysnęły łzy.

— Rany boskie! — wykrzyknął pan Tolek. — Przecież ten dobosz wali w bęben kutasem!

— Aha. To Karol Gajdosz, również bękart, robi to także podczas bali maskowych — wyjaśniła dozorczyni stawów i wzruszona dodała: — Czyż to nie piękne? Książę pan umierając widzi moją mamusię, jak rzuca mu pod nogi obrusy aż do samego nieba...

W karczmie mężczyźni rycieli:

Jesienią, gdy astry kwitną...

Płaczące kobiety rozchodziły się z wolna. Nad wioską pojawił się wilgotny księżyc. W gospodzie

mokry karczmarz roznosił piwo: w każdej ręce żyrandol z dziesięciu kufli.

Z dolnej gospody muzyka gra...

Śpiewano tak głośno, że zagrażało to powale. Jeden ze śpiewających pociągnął swawolnie za kreton i cały karnisz zerwał się wraz z firankami i falbankami, przywalając pijaka, który wsparty o ścianę samozwańczo dyrygował harmonią i bębniem. Instrumenty też zniknęły pod firankami i falbankami, tak że widać było tylko ręce dyrygujące, ręce grające na harmonii i rękę, która uderzała z boku w ogromny bęben.

Przed karczmę wyszedł nauczyciel Krzysztof Jaworek, książęcy bękart, i ruszył zygżakiem do oświetlonego ustępu, gdzie upadł staczając się do wysmołowanego rowka.

— Widzi pan? — wskazała dozorczyńni stawów. — Wykapany książę pan. Pewnego razu wracał z arystokratycznego kasyna w Pradze i pośrodku ulicy Liliowej upadł przed gospodą „Pod Białym Zającem”. A obok przechodził właśnie pewien socjaldemokrata w ogromnym kapeluszu. „Może wam pomóc, obywatelu?” — spytał. A książę pan, chociaż nogi odmawiały mu posłuszeństwa, oparł się rękoma o kamienie bruku, odnalazł w wymiocinach swój monokl, włożył go w oko i oświadczył: „Wie pan, kim ja jestem? Jestem książę Thurn el Secco el Tasso! Precz mi stąd!” — I położył się z powrotem. Oto co znaczy błękitna krew, no nie?

— Wspaniała historia — powiedział pan Tolek. — Ale skoro pani tak o wszystkim wie, to może zna pani także kaletnika Landę?

— Znam, a na co on panu?

— Pisał do nas w sprawie renty.

— Teraz już żadnej renty sobie nie zafunduje — stwierdziła dozorczyńni stawów. — Jedna taka wywróżyła mu z kart, że nad rzemieślnikami gromadzą się chmury, a więc wszystko sprzedaje i forszę natychmiast przepija... To ten, co tańczy z kuflem na głowie pośrodku sali.

Rozanielony chłop w białej koszuli wyszedł przed gospodę i krzyczał do księżycy, który wzbił się ponad dachy:

— Hej, hej, jest tam kto głodny? Mam w domu pieczoną gęś, kaczkę i bażanta. Wystarczy jedno słowo a skoczę po to. U nas nawet pies już rzyga z przejedzenia!

Nikt jednak nie odpowiadał, więc chłop poszedł zataczając się do ustępu i zaczął szczać panu nauczycielowi na piersi.

*Radosny był młodości wiek,
lecz trwał, niestety, krótko...*

Karczma rozśpiewała się z nowym zapalem i mocą, ręce znów otoczyły szyje, znowu obejmowano się wpół, żyły na karkach nabrzmiewały, a powietrze pod powalą gospody jeszcze bardziej się rozedrgało.

Nawet ten rozradowany chłop w ustępie śpiewał:

Nie jestem już tak młody, nie...

Podniósł ręce i tańczył solo nad panem nauczycielem leżącym w smołowanym rowku.

Z korytarza wybiegł człowieczek i czkając skarżył się i prosił Pana Boga, aby raczył wziąć go już do siebie...

— Po odpuście bywa zwykle szopka — powiedziała dozorczyńni stawów i dodała: — To Karolek Humelów, trębacz od strażaków. Pewnego razu podczas pożaru nie mógł znaleźć trąbki, więc chodził po drodze i grając na skrzypcach wołał: „Gore! Ludzie! Gore!”...

Trębacz od strażaków ześliznął się w pokrzywy przy murze cementarnym, podniósł się i wielkim gwoździem rył w oświetlonym blaskiem księżycyca tynku:

PRZYSIĘGAM, ŻE JUŻ NIGDY...

— Hej tam, Karolku, może być tak dał sobie spokój z tym pisaniem, co? — zwróciła się doń dozorczyńni stawów. — Nie smaruj mi po grobie mojego tatusia, dobrze?

Ale ręka trębacza ześlizgnęła się i gwoździez donośnie wyrzeźbił w tynku krechę, która zbiegła do ziemi jak błyskawica.

I trębacz usnął z gwoździem w palcach.

Od rzeki wracały dziewczęta. Księżyc napierał delikatnie na ich plecy, zmuszając dziewczuchy, by nieustannie stapały po swoich własnych cieniach...

*Była to bardzo piękna pieśń,
niestety, trwała krótko...*

Ogorzali chłopci śpiewali w gospodzie i każdy miał taką minę, jakby tą pieśnią samemu sobie hołd składał.

Utrudzony karczmarz niestrudzenie roznosił żyrandole z kufli piwa...

Salę taneczną przedzielało od kuchenki matowe okienko i w jego mlecznej szybie rysowała się sylwetka mężczyzny we fraku, trzymającego z wdziękiem kieliszek w palcach — niczym reklama aperitif. Właśnie podniosła kieliszek do ust, przechyliła i do ostatniej kropli wysączyła smakowity trunek. W chwilę potem sylwetka zniknęła, a na sali tanecznej pojawił się nauczyciel tańca we fraku, klasnął w dłonie, stanąwszy pośrodku parkietu, przejechał palcami po guzikach rozporka i zawołał:

— Tak więc, drodzy panowie, brak nam tu na razie dam... Jest tylko jedna! — Wskazał lustro, pod którym siedziała panna Grudówna w bawełnianej sukience w kratkę, z palcami zaciśniętymi na ogromniastej chusteczce do nosa. — Ale to, że ich nie ma, wcale nie oznacza, że ich nie będzie. Damy przyjdą. Obiecały mi wziąć udział w lekcjach tańca dla starszych i zaawansowanych! Tymczasem zaś proszę odliczyć: parzyści będą tym, czym są, to znaczy panami, a nieparzyści przemienią się w damy. I od razu powtarzamy walczyka. Panie kapelmistrzu, poproszę Straussa! — zawołał nauczyciel tańca i przechodząc wzdłuż szeregu swoich uczniów odliczał: parzysty, nieparzysty, parzysty, nieparzysty, a kiedy wskazał ostatniego, rozkazał: — Panowie proszą panie!

Kapelmistrz, co za młodu grywał „U Szpirków” i „Pod Starszą Panią”, pochylił się, ale zakreśliło mu się w głowie, gdy spojrzał na tancerzy w wyświechtanych ubraniach, i pomylił się: zamiast usiąść przy fortepianie chciał wejść do lustra.

— Verfluchte Paralyse — zaklął siadając przy prawdziwym fortepianie. W sali rozległy się dźwięki walczyka „Odgłosy wiosny”.

— A potem „Walczyk cesarski”! — wołał tancmistrz. — Ja muszę skoczyć na chwilę do kuchni. Zamówiłem międzymiastową w sprawie pięknych partnerek.

I już biegł przez salę, zatroskany o piękne panie, po czym sylwetka jego pojawiała się co jakiś czas w mlecznym okienku dzielącym salę od kuchni i czyjaś ręka podawała mu w tym teatrzyku cieni pełny kieliszek.

— Jezus Maria — odezwał się pan Bucefał, który grał rolę damy pana kierownika. — Cóż to za dziwni ludzie się tu zbierają?

— Klienci — odparł oschle pan kierownik. — Ten rzeźnik, co usiadł pod lustrem, widzi pan? Jego załatwiliśmy już na pierwszej lekcji. Zdecydował się na najwyższą rentę. Niech pan, Bucefałku, spojrzysz na Wiktora. Właśnie tańczy z mistrzem lakiernikiem Timikiem i już, już go ma na sztychu! Kiedy pan się lepiej rozejrzy, zobaczy pan, że tu zbierają się sami podstarzali rzemieślnicy, urzędasy, kilku zwariowanych starych kawalerów... bo któż inny zapisałby się na przedmieściu na lekcje tańca...

— Jezu Chryste! — zawołał pan Bucefał. — Nie kopnąłem pana zbyt mocno? Na miłość boską, a to co za człowiek? Ten, co tańczy solo!

— To pomocnik ogrodnika, Jiroszek — szepnął pan kierownik. — Na pierwszej lekcji zastępował mi damę. Ale ledwie tylko zaczęliśmy polkę, wymknął mi się z ramion i zaczął tańczyć solo. Taki z niego indywidualista! Miał dwóch chorych psychicznie synów, których nie mógł nauczyć — i to przez całych

piętnaście lat — rozpoznawać godziny na zegarze. Ustawiał im wskazówki budzika we wszystkich położeniach, walił ich tym budzikiem po łbach... Teraz trochę się polepszyło, jeden synek się powiesił, a ten drugi, gdy widzi, że na zegarku jest kwadrans na szóstą, mówi, że jest wpół do szóstej... no i ogrodnik szaleje ze szczęścia, że już z nim, mimo wszystko, znacznie lepiej...

— Kto panu opłaca wpisowe? — spytał pan Bucefał.

— Kierownictwo „Spokojnej Starości”. W zeszłym roku podczas lekcji tańca dla starszych i zaawansowanych, oczywiście, na przeciwnym krańcu Pragi, załatwiliśmy ogółem dwanaście ubezpieczeń! — pochwalił się pan kierownik tańcząc bez trudu wiedeńskiego walczyka w lewo.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że pomocnicy ogrodników mają na sumieniu niejedno morderstwo? — spytał pan Bucefał kładąc delikatnie rękę na ramieniu swojego partnera. — Sprawia to pewnie świeże powietrze. Przez pięć lat plewi taki pan grządki i podlewa kwiaty, i nagle wymyśla piekielną zbrodnię. Na przykład potrójne morderstwo w Namiesti nad Oslavą. Bestialski morderca Filipi, pomocnik ogrodnika, który siedząc potem w opuszczonej studni czekał, co będzie dalej... Albo Szczepanik w Rudnicy. Zastrzelił dwie kobiety na rowerze, a następnie swoją siostrę cioteczną, którą wsadził nagą do wanny, po czym udał się na posterunek policji i oświadczył: „To ja jestem ten sławny morderca Szczepanik, pomocnik ogrodnika!” Uwaga! — zawołał pan Bucefał.

Tuż obok przemknął pomocnik ogrodnika. Wyprzedzał jedną parę za drugą, krople potu wystąpiły mu

na czoło i toczyły się poprzez brwi, ale ogrodnik tańczył z zamkniętymi oczyma i uniesionymi łokciami, jakby pragnął wzbić się do lotu...

— Już tu jest, to dobrze — powiedział pan kierownik wskazując brodą drzwi wahadłowe. — To mój kolega Bloudek, dozorca z domu wariatów.

— To i wariaci tu przychodzą?

— A jakże! Ci, co jeszcze nie dostali się do domu wariatów — zaśmiał się pan kierownik. — Bloudek przychodzi tu po to, aby sobie odrobinę od wariatów odpocząć. Aha! Po lekcji pójdziemy na piknik. Ja dostarczę alkoholu, a Bloudek wpuści nas do ogrodu. Dobry pomysł, co?

Sylwetka w mlecznej szybce wychyliła kieliszek likieru i zniknęła.

Nauczyciel tańca wpadł do sali, przesunął palcem po guzikach rozporka, po czym poprawiwszy złote spinki w mankietach podniósł rękę.

Fortepian ucichł.

— Panie i panowie — zawołał tancmistrz. — Zbliża się okres zabaw i balów, jestem więc panom winien kilka bezcennych rad... Proszę bardzo, aby ten pan przestał tańczyć, kiedy ja mówię, dobrze? — oburzył się.

Ale pomocnik ogrodnika tańczył nadal, wyczuwając pod zamkniętymi powiekami czar tego *pas* na trzy czwarte. Trzej uczniowie usiłowali go zatrzymać, ale pomocnik ogrodnika poradził sobie z nimi bez wysiłku. Dopiero gdy zważyło się nań sześciu adeptów lekcji tańca, udało się im go przewrócić. Wtedy otworzył oczy.

— To, co pan tu usłyszysz, obowiązuje także i pana — oświadczył nauczyciel tańca zapinając guziki roz-

chełstanej koszuli ogrodnika, po czym dodał: — A poza tym mógł pan włożyć krawat! — Odwracając się powtórzył: — Zbliża się okres zabaw i balów, kładę więc panom na sercu: noście fraki. Frak składa się z czarnych spodni, głęboko wyciętej białej kamizelki, koszula także musi być biała...

— Ja tam najchętniej noszę koszulę harcerską — przerwał mu ogrodnik.

— Ale do fraka musi pan mieć koszulę białą. Gdzie pan to słyszał: harcerską? — Tancmistrz zaczął krzyczeć. — Białą koszulę. Wykrochmaloną. I na gorsie można nosić co najwyżej perłowe guziczki. Żadnych drogich kamieni! Proszę to wziąć pod uwagę, bardzo proszę. Czego pan sobie życzy? — spytał nauczyciel tańca odwracając się do pomocnika ogrodnika.

— Bardzo lubię nosić pas harcerski, bo na karambieniu wieszam klucz od mieszkania — powiedział ogrodnik i rozchylając cajtgową marynarkę pokazał klucz.

— Ależ, na miłość boską, może pan nosić, co pan tylko chce. Ja tu przedstawiam zasady według Guth-Jarkowskiego — krzyczał tancmistrz. — I krawat również biały, i rękawiczki, a cylinder zostawia się w szatni...

— A czy mógłbym do fraka założyć... — zaczął ogrodnik.

— Nic nie chcę słyszeć! Nic! — Nauczyciel tańca zatykał sobie uszy. — A teraz biegnę zatelefonować po piękne panie! — I już mknął gestykułując rękoma wokół swojej czerwonej głosu.

Po chwili jego zadyszana sylwetka pojawiła się za mleczną szybką: telefonował po piękne damy za pomocą kieliszka wódki.

Pianista, który grywał za młodu „U Szpirków” i „Pod Starszą Panią”, sięgnął po kawałek końskiej kiełbasy, która leżała na klawiszach najwyższej oktawy, ugryzł kęs i zaczął grać „Cesarskiego walczyka”.

Pan Bloudek, dozorca z domu wariatów, usiadł obok panny Grudówny, która popłakiwała żałośnie.

— Co się stało? — spytał.

— Nie chce mi się żyć na świecie — odparła.

— A to dlaczego?

— Jako przewodnicząca Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami dowiedziałam się, że na Sadowej złapano pewnego terminatora, który żywcem obdzierał jagnię ze skóry. Że też ludzie mogą tak okrutnie obchodzić się ze zwierzętami! — z trudem dokończyła panna Grudówna i wcisnęła twarz w chusteczkę.

— Proszę nie płakać — uspokajał ją dozorca. — Niech no pani spojrzy tylko na tę bliznę, co ją mam na czole. Pewna dozorczyńni utopiła żywe kociątko w ustępie ze spuszczaną wodą, i kociątko to — zanim je woda porwała — z takim wyrzutem spojrzało na dozorczynię, że się jej w głowie pomieszało.

— Dobrze jej tak! Pan Bóg ją pokarał! — roześmiała się przez łzy panna Grudówna.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział dozorca pochylając się. — Tę dozorczynię wykończyła później stara kotka, która chodziła i spoglądała do sedesu, i sięgała łapką do wody, a pewnego razu spojrzała na dozorczynię z takim wyrzutem, że ją przywieźli do domu wariatów. I nie upłynęło pięć dni, jak rozłukła miskę klozetową i chciała jakimś ostrym odłamkiem poderżnąć sobie gardło... Ja usiłowałem jej w tym przeszkodzić, no i niech pani popatrzy! — Dozorca nastawił głowę.

— A więc istnieje jeszcze sprawiedliwość — zaśmiała się panna Grudówna, zezowatym okiem wypatrując jądra sprawiedliwości.

— Grają „Cesarskiego walczyka”! Czy mogę prosić? — Dozorca wstał i stuknął obcasami.

— Kiedy indziej, ma pan tu dosyć dam... następnym razem — odmówiła panna Grudówna i jakby zamierzała wsunąć rękę do kieszeni. — Ach, nie mam tu kieszeni, ale w domu włożyłam do innej sukni zawiadomienie, że znowu rzeźnicy wykłuli bykowi oczy, aby móc go zaprowadzić do rzeźni.

— A iluż to rzeźników byki na śmierć zadeptują! — zawołał pan Bloudek.

— Naprawdę? — spytała panna Grudówna odejmując chusteczkę od zapłakanej twarzy, a kiedy wysmarkała już łzy, poprosiła: — Niech no mi pan opowie jakąś ładną historyjkę na ten temat, nigdy o czymś takim nie słyszałam.

— Ot, chociażby wypadek z holeszowickiej rzeźni: byk wykończył dwu pastuchów. Pierwszemu zmiażdżył głowę o mur. A potem udawał, że już się ze wszystkim pogodził, więc drugi pastuch, mój szwagier zresztą, przestał uważać i ten biegający byk ni stąd, ni zowąd szwagra przyuważył i przygniótł do ogrodzenia...

— To wspaniałe! Cudowne! — wykrzyknęła wiceprzewodnicząca Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. — Chodźmy zatańczyć. Sprawił mi pan ogromną przyjemność. Ja strasznie kocham byki, ach, jeszcze jak! Gdybym miała dość siły, to bym wzięła takiego półtonowego byka na ręce i pieściłabym się z nim jak z kotkiem, i całowałabym go pod szyjką i w brzuszek... — unosiła się panna Grudówna i potrząsała głową, jakby policzkiem pieściła brzuszek półtonowego byka.

— Proszę pani — powiedział dozorca — niech pani zamknie oczy i spróbuje dotknąć palcem czubka nosa.

Wiceprzewodnicząca dotknęła palcem zamkniętego oka.

— Dziękuję — powiedział dozorca. — A teraz proszę wyciągnąć ręce przed siebie i iść wprost do mnie... I zamknąć oczy! — dorzucił.

Wiceprzewodnicząca spełniła jego polecenie i minęła go pod kątem czterdziestu stopni.

— A teraz niech pani usiądzie — poprosił dozorca, a kiedy wiceprzewodnicząca usiadła, polecił: — Niech pani założy nogę na nogę.

Uderzył ją z ukosa pod kolanem i oświadczył:

— Refleks niemal żaden. Palce u rąk lekko roztrzęsione, zachwiana równowaga. Schizofrenia, rozdwojenie jaźni. Pewnego razu nie wróci pani do normalnego stanu i przywiozą panią tam... — oświadczył wskazując kąt sufitu, gdzie — jak przypuszczał — znajdował się dom wariatów.

Na salę wpadł nauczyciel tańca, w biegu skontrolował sobie guziki przy rozporku, ruchem ręki uciszył muzykę i wskazując pannę Grudównę, zawołał:

— Omal żem nie zapomniał! Mamy tu jedną damę!

Panna Grudówna głośno wytarła nos w chusteczkę, a dozorca stanął w pąsach.

— Dama — zawołał nauczyciel tańca — dama wchodzi do saloniku w lekkiej narzutce, tak zwanej a n t r e. A chusteczkę wybiera sobie na taką okazję najczęściej koronkową... z pewnością wszyscy państwo widzieli przed laty film z Ireną Dunne i Charlesem Boyer: „Koronkowa chusteczka”... i tę koronkową chusteczkę wkłada za staniczek. Panowie! — wykrzyknął tancmistrz i przejechał palcem guziki — gdyby

kiedyś spotkał was ten zaszczyt i zostalibyście wybrani członkami komitetu organizacyjnego balu, i gdyby na ten bal zawitała jakaś wybitna osobistość, nie zapomnijcie wyjść jej naprzeciw, odebrać od niej w szatni wierzchnie okrycie... dopiero potem można ją wraz z osobami towarzyszącymi przy dźwiękach uroczystych fanfar wprowadzić na estradę. Kładę to panom na sercu.

— Ale ja teraz gram rolę damy — oznajmił mistrz kominiarski.

— Teraz tak, ale skądinąd jest pan mężczyzną — wykrzyknął nauczyciel tańca. — Ale oto pierwsze dobre wiadomości. Trzy panie obiecały wziąć udział już w następnej lekcji tańca. Idę telefonować po dalsze...

— Szkoda — powiedział mistrz kominiarski.

— Co? — huknął nauczyciel tańca.

— Bo ja tak się przyzwyczyłem być damą Jarka, że nigdy mi się lepiej nie tańczyło. Prawda, Jarku? — oświadczył kominiarz patrząc na lakiernika, pana Timika.

— Na miłość boską, błagam: niech pan tego nigdy nie powtarza! Nie chcę „mieć kłopotów z urzędami! — zawołał tancmistrz. — Panie kapelmistrzu, tango; „W dali za morzem kraj piękny leży, Hawaje!” A ja skoczę raz jeszcze zatelefonować! — wołał gestykując rękoma, tak że mankiety mu opadły.

Po chwili jego sylwetka zjawiała się w matowym okienku oddzielającym kuchnię od sali: przyjąwszy z czyjejs ręki kieliszek, poprawiała sobie mankiety.

Pianista, który za młodu grywał „U Szpirków” i „Pod Starszą Panią”, zacząwszy grać tango stracił łokciem końską kielbasę, więc przyklęknąwszy grał jedną ręką, drugą zaś szukał po omacku wędliny. Znalazłszy ją, wbił w nią zęby, obiema zaś rękami

brząkał dalej, a kiedy prawą rękę przeniósł o trzy oktawy wyżej, szybko wyjął kiełbasę z ust i położył na ostatniej oktawie.

Trzy pary tańczyły niemal w miejscu, tylko pomocnik ogrodnika nabierał szybkości.

— Co też mi pan wygaduje! — denerwował się kominiarz.

— Dlaczego nie miałby się pan dzisiaj w jakiś sposób wyróżnić? — spytał pan kierownik tańcząc w miejscu z emerytowanym sierżantem.

— Tak, proszę panów — powiedział kominiarz i tkliwie położył rękę na ramieniu swojego tancerza, pana Jarka Timika, lakiernika i malarza, którego uszy całe pokryte były kolorowymi plamkami. — Mój dziadek był kominiarzem w Beneszowie. I założył się „U Nigrinów”, że kiedy arcyksiążę Ferdynand d’Este będzie szedł z hrabianką Chotkówną, to znaczy swoją małżonką, do kościoła, to on, mój dziadek, chwyci hrabiankę za łydkę. W niedzielę wszyscy rzemieślnicy stali przed kościołem we frakach i w cylindrach. A kiedy arcyksiążę przyjechał, dziadek na trzecim stopniu przed kościołem przeżegnał się i chaps! — wsunął hrabiance rękę pod spódnicę...

— A czy przynajmniej ładne miała łydki? — Zatrzymała się trzecia para.

— Dziadek mówił, że takiej łydki nigdy w życiu nie miał w rękach. No, wówczas jeszcze bywały takie kurwy, że nie potrafiono tego nawet docenić! — Mistrz kominiarski nakreślił znak krzyża. — Tylko że arcyksiążę wyciągnął rewolwer i chciał dziadka na miejscu ukatrupić. I rzemieślnicy we frakach musieli upaść na kolana i błagać, aby dziadka oszczędził, że gdyby w mieście było dwu kominiarzy, to niechby sobie dziadka zabił, ale w takiej sytuacji? A więc arcyksiążę

powiedział, że dziadek musi przynieść do zamku w Konopiszczu dwa tysiące złotych jako dar dla zubożałych córek szlacheckich. No i dziadek biegał i starał się o te dwa tysiące, i zaniósł je, gdzie mu kazano, ale potem tak się upił, że nieśli go do domu w balii... Pewien fryzjer pomyślał sobie po drodze, że warto dziadkowi ogolić brodę. A więc mu ją ostrzygł i wygolił starannie brzytwą, po czym położono dziadka na kanapie. A ten przebudziwszy się rano i prysnąwszy sobie na twarz garścią wody z umywalki, osłupiał, spojrzął na swoje odbicie w lustrze i powiedział: „To nie jestem ja?!”

— No i gdzie skończył, panie kolego? — spytał mistrz kominiarski kołysząc się słodko w rytmie tanga.

Dozorca Bloudek przytaknął:

— W domu wariatów, tam u nas...

Kominiarz ze swoim tancerzem stanęli w miejscu.

— No i pytam ja się panów, czy mógł się kto równać z nim sławą? Któż inny chwyciłby hrabiankę za łydkę? Coś takiego mogło się przydarzyć tylko za Austrii.

Ale kiedy zaczął znowu ze swoim partnerem krążyć po sali, natknął się na oficjalistę biurowego, pana Hurdalka, który zwracając się do wszystkich par tańczących w miejscu, oświadczył:

— Co to, to nie. Nie pozwolę obrażać Pierwszej Republiki.

— Proszę o dowody! — zażądał mistrz kominiarski wykonując w tangu taką figurę, jakby drwił przy pomocy tańca.

— Mój tatuś, proszę panów, mając trzydzieści jeden lat został podporucznikiem policji! — oznajmił uroczyście pan Hurdalek.

— Proszę mi nie opowiadać takich historii! — oburzył się sierżant na emeryturze. — W wieku trzydziestu jeden lat nikt nie mógł otrzymać tak wysokiego awansu.

— A jednak tak było! — Pan Hurdalek był wyraźnie zadowolony. — Mój tato — opowiadał tańczącym parom, które usiłowały opanować podstawowe kroki tanga — był chorążym policji w Hościwarzu, gdzie obowiązywało stałe pogotowie, jako że mieszkał tam premier rady ministrów, Szwehla. Pewnego razu przyjechał pan prezydent, porucznik więc porozmieszczał policjantów w ogrodzie pod krzakami porzeczek. Siedzi więc mój tatuś w krzakach, a tu do ogrodu wchodzi pan premier z panem prezydentem... Kiedy się trochę ściemniło, przechodzili obok krzaków porzeczek i mój tatuś naraz usłyszał: „Ależ niech pan po prostu pójdzie kilka kroków przed siebie!” I patrzy mój tatuś, i widzi: pan prezydent rozpiną spodnie i szcza wprost na niego! A jednak ta demokracja to było coś! Mój tatuś nawet nie pisnął. Kiedy później porucznik ściągnął patrole z ogrodu, powiada: „Hurdalku, coś ty taki mokry?” A tatuś mu na to, że go pan prezydent obeszczął. Porucznik poklepał tatusia po ramieniu i powiada: „Masz szczęście, Hurdalku! Możesz zejść bardzo wysoko!” I kiedy porucznik składał raport premierowi rady ministrów, wspomniał w nim z pochwałą o bohaterским zachowaniu się mojego tatusia w krzakach porzeczek. A pan premier, zjawiwszy się na Zamku, już na początku rozmowy powiedział panu prezydentowi o tej przygodzie w porzeczkach. A kiedy się już do syta naśmiali, pan prezydent pyta: „No i cóż zrobimy z tym chorążym? Mianujemy go za odwagę podporucznikiem!” Oto w jaki sposób mój tatuś został podporucznikiem policji mając trzydzieści jeden lat!

— wykrzyknął z dumą pan Hurdalek i płynnym krokiem oddalił się wraz ze swoim partnerem.

— W takim wypadku i ja pozwoliłbym się obeszczuć! — zawołał sierżant na emeryturze.

Lecz oto na salę wbiegł nauczyciel tańca, rozgniewany, czerwony.

— A więc to tak się wyraża na lekcjach tańca?! — krzyczał. — Powstrzymajcie się z tym do czasu, kiedy będziecie tańczyć gdzieś w tancbudzie „Na Wejtoniu”! Ale dlaczego nie tańczycie? I któż to śpi tam pod lustrem? Dlaczego nie chodzicie trzymając się pod rękę pośród kolumn? — zadawał pytania pan tancmistrz.

Potrząsnął śpiącym rzeźnikiem.

— Kto pan jest?

— Józef Cuc, rzeźnik i masarz, Wyszegrodzka...

— Dama czy pan?

— Dama...

— Jezus Maria, to dlaczego pan tu śpi z rozrzuconymi nogami? Gdzież towarzyski bonton? Gdzie kultura? — krzyczał nauczyciel tańca przejeżdżając palcami po guzikach rozporoka. — I kto tu palił? Ja go zaraz odnajdę! Lekcje tańca to żadne wywczasy! — I wpadł do ustępu, skąd rozległ się natychmiast jego krzyk i skąd wyszli po chwili skrzeszeni i zawstydzeni dwaj powroźnicy, którzy ukryli się tam, aby wypalić cygaro.

Pan Bucefał odprowadził swojego tancerza do pół drogi i odwrócił się.

— Z powrotem! Z powrotem! — wołał w drzwiach nauczyciel tańca. — Czy tak się odprowadza damę? Panie kapelmistrzu, proszę muzykę, a wy dwaj marsz na środek sali.

I pianista, który za młodu grywał „U Szpirków” i „Pod starszą Panią”, namacał fortepian, usiadł i westchnął:

— Verfluchte Paralyse!

I zaczął grać walczyka „*Tesoro mio*”.

Pan Bucefał podał ramię handlarzowi bydła, który zastępował mu damę, a kiedy chwycił rytm, wśliznął się gładko w takt na trzy czwarte. Obaj tancerze byli czerwoni, bo inni uczniowie patrzyli na nich tępo, podczas gdy pomocnik ogrodnika poruszając rękoma nabierał zawrotnej szybkości.

— No tak — powiedział słodko nauczyciel tańca cofając się. — A teraz dosyć muzyki. No i jak odprowadza się damę do stolika, jak, proszę?

Ruchami rąk dyrygował wychowaniem towarzyskim i ogląda, skłaniał tańczącą parę, aby szła pod rękę, po czym osłoniwszy dłonią ucho słuchał, jak pan Bucefał kłaniając się mówi:

— Łaskawa pani, to było cudowne! Błagam o następny taniec.

A zezowaty handlarz bydłem, który na Słowacji ładował do wagonu zamiast osiemnastu dwadzieścia pięć krów, z których w drodze do Pragi zdychało z głodu i pragnienia pięć do sześciu, co jednak znakomicie się opłacało, spuszczał oczy i szeptał:

— Niestety, muszę panu odmówić, następny taniec już zamówiono...

Nauczyciel tańca rozczulił się do łez:

— A jednak dobrze uczę... Zrozumcie to, mężczyzna musi być zawsze grzeczny... Panie kapelmistrzu, teraz zatańczymy walca „Błękitny ogród rozkwitnie...” — zawołał wzruszony i przejechał palcem po guzikach.

Pomocnik ogrodnika zatrzymał się, zlany potem.

— Ach, to coś wspaniałego, taki taniec — oświadczył i splótł przed sobą ręce niczym łyko, po chwili zaś dodał: — Mistrzu, czy nie mógłbym wysłać telegramu dziękczynnego do Centrali Tańców Towarzyskich?

— Może pan posłać — zezwolił łaskawie nauczyciel tańca. — Proszę tylko zaznaczyć, kto te lekcje tańca prowadzi. — Podniósł palce. — Idę zatelefonować po piękne panie.

Odchodził z głową pochyloną w bok, oszołomiony uznaniem, by zniknąć w korytarzyku. I znów jego sylwetka z kieliszkiem w ręku załśniła na tle matowej szybki.

Nagle przy wejściu uchyliły się drzwi wahadłowe i wbiegł lakiernik pan Timik wołając:

— Tusz! Tusz! Zawitała do nas jakaś wybitna osobistość! Szybko! Niech ktoś wyjdzie jej naprzeciw i pomoże zdjąć wierzchnie okrycie, i...

Na salę taneczną weszła Nadzia ciągnąc za sobą za rękaw futerko z imitacji gronostajów i śmiejąc się stanęła przy drzwiach, czekając, dopóki do zastygłej w milczeniu sali nie wejdzie pan Tolek Uhde, agent, z płaszczem lekko przerzuconym przez ramię i z różą w ręku.

Tancmistrz otworzył okienko i wychylił się z kuchni.

— Panowie! — zawołał. — Czyż nie mówiłem? Jedną piękną damę już tu mamy, a teraz telefonuję po następne. Panie kapelmistrzu! „Błękitny ogród rozkwita...” — I opuścił matową szybkę, za którą jego sylwetka ponownie uniosła kieliszek.

— Verfluchte Paralyse! — zaklął pianista, zanim zanurzył palce w klawiaturze, i prawą ręką obejmował kolejno coraz to wyższą i wyższą oktawę, lecz kiedy sięgnął na ostatnią, nie znalazł tam końskiej kiełbasy.

Pan Tolek odrzucił płaszcz, skłonił się przed Nadią i posuwistymi krokami zaczął tańczyć walca, raz po raz demonstrując piękne figury i roszady. W rękę trzymał cudowną różę i śpiewał przy akompaniamencie fortepianu:

*Komu do serca raz wpadł
niezapominajek wdzięk...*

— Pięknie pan śpiewa — powiedziała Nadzia i odchylając się wpatrywała się w szlachetną twarz pana Tolka.

Pomocnik ogrodnika w szaleńczym upojeniu wyprzedzał wszystkich tańczących, pianista zaś zezował oczyma na ziemię, przesuwając po omacku palcami i szeptał:

— A może ja tę kielbasę już zjadłem...

9

Nad skąpanym w księżycowym blasku murem domu wariatów symfonicznie pochylały się gałęzie. Pan Bloudek, dozorca, otworzył boczną furtkę i do ogrodu zakładu weszli przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeniowego „Spokojna Starość”.

Panna Nadzia niosła koszyczek przykryty bielutką serwetką.

— Taka młodzieńcza paranoja to okropne pas-kudztwo! — powiedział dozorca Bloudek. — Pacjent zaczyna nagle zdradzać objawy ujemne i szybciotko cofa się nam aż do szympana.

— Mamy więc przed sobą piękne perspektywy — odezwał się pan kierownik.

— Niekiedy zgłupieć to rzecz bardzo przyjemna — oświadczył pan Wiktor. — Erazm z Rotterdamu napisał o tym książkę, *Pochwała głupoty*.

— No tak! — Pan Bloudek podniósł rękę. — Ale wygłupiać się pan może tylko tak długo, jak długo jest pan zdolny powrócić do stanu poprzedniego. Pewnego razu jednak już się to panu nie uda i pojawi się rozszczepienie, wobec czego przywiozą pana tutaj, do nas...

Towarzystwo zatrzymało się na skraju parku; poprzez drzewa błyszczał pięciopiętrowy gmach otynkowany księżycowym blaskiem. W całym tym wielkim budynku nie spano tylko za jednym oświetlonym oknem.

Usiedli na ławeczce ocienionej konarami stuletnich buków i zachwycali się, patrząc na zakładowy ogród warzywny, gdzie na zagonach lśniły w liściach kapusty krople rosy, a przy murze ciągnęła się długa oranżeria, której szklany dach błyszczał niczym ogromna brzytwa.

Biała suknia Nadzi bieląła w głębokich cieniach parku.

— Panno Nadziu, niech pani napocznie tę butelkę — polecił pan kierownik i z podziwem objął ogród wzrokiem. — Ludzie, czy wy to widzicie? Co do mnie, uwielbiam księżycowe noce. A mimo to myślę, że te księżycowe noce nie są już takie jak dawniej. Przedtem bardziej jakoś miesiączek świecił. W takie noce igłę można było znaleźć. I ludzie zasłaniali okna kocami i opuszczali story, bo niektóre osoby cierpiały w takie noce na somnambulizm. Czy słyszeliście, by dzisiaj ktoś cierpiał na somnambulizm?

— Pan — odpowiedziała Nadzia i objąwszy kolana mi butelkę wyciągnęła korek.

— Cóż to za przyjemny odgłos! — delectował się dozorca.

— Jestem lunatykiem — mówił pan kierownik — ale jakąż to ma dzisiaj dla mnie wartość, kiedy nie pozostało mi już nic poza pieniędzmi? Ach, z jaką radością i zapalem chodziłem w księżycowe noce z dziewczętami... kiedy byłem młody. Ale cóż można na to poradzić?

— Nic nie można poradzić — stwierdził dozorca. — Wszystko ma swój czas. Nie będzie się pan przecie dręczyć miłością tak jak ta nasza paniusia. — Wskazał oświetlone okno. — Siedzi tam madam Masza ze złamanym sercem i zwichniętym mózgiem, która zapomniała, że ma czterdzieści lat i że z miłości bołą kości.

Nadzia wycierała serwetką kieliszki.

Następnie nalała alkohol.

— Na jaką intencję wypijemy? — Pan kierownik wznosił kieliszek. — Za tę noc księżycową!

— Za miłość; która złamała serce pani Maszy! — zaproponował Wiktor.

— Za noce, które nadejdą — rzuciła Nadzia.

— Za to, że wszyscy jesteśmy w domu wariatów — dodał pan Tolek.

— Za plamy, których nie można wyczyścić bez naruszenia osnowy materiału — dodał pan Bucefał.

— Za złote ręce firmy „Krohn Brothers”, które sporządziły ten trunek — zakończył toasty pan Bloudek, dozorca.

Unieśli kieliszki i wypili.

W gmachu ktoś wybuchnął przeraźliwym szlochem.

— To nic — uspokoił zebranych dozorca nalewając sobie ponownie. — To z pewnością pan Kilius. *Herr Gott!* Ta firma „Krohn Brothers” zna się na rzeczy!

Tak to jest, ludzie myślą sobie, że my tu jesteśmy jakimś zakładem naprawczym, w którym schizofreników można zreperować jak przedziurawioną dętkę... tak jak się zalepia otwór w baloniku... Człowiek to jednak bardzo delikatny balonik! Pan Kilius jest u nas po raz piąty. Jego teściowa wkładała na noc swoją sztuczną szczękę coraz to do innego garnka. A pan Kilius, kiedy wracał z knajpy... znacie te dyluwialne głody po piwie, prawda? A więc zjadał i wypijał, co znalazł pod ręką. I ogółem pięć razy wypił tę sztuczną szczękę swojej teściowej. I za każdym razem krzyczał: „Teściowa śmieje się do mnie z garnka!” No i poplątały mu się te sznury od bielizny na strychu! — Dozorca dotknął palcem czoła. — I przywieźli go tutaj!

— A skąd pan, panie Bloudku, wie to wszystko? — spytała Nadzia.

— Skąd? Na pompy są Zygmonty, a na schizofreników jest Zygmunt Freud! — wyjaśnił dozorca. — Robimy test automatyczny, to coś w rodzaju katolickiej spowiedzi w konfesjonale... I wszystko z pacjenta wydobywamy. A potem za pomocą zimnej wody, szoków i innych leków wymazujemy pacjentowi z głowy to, co tam być nie powinno. I zwracamy pacjenta rodzinie z adnotacją: „Uwaga! Niech teściowa nie wkłada sztucznej szczęki do garnka. Najlepiej niech się teściowa wyprowadzi”. Tylko że ludzie myślą, żeśmy ich krewniaka wyremontowali na wieczne czasy. Ale za pół roku pacjent jest tu już z powrotem. Ta firma „Krohn Brothers” zna się na rzeczy, co? — pochwalił dozorca i nalał sobie alkoholu.

Pan Wiktor siedział na trawniku, oparty plecami o pień czerwonego buku, z nogami rozrzuconymi w chlorowym blasku księżyca.

Nadzia odkryła na gałęzi kulę przymocowaną na łańcuchu, a pod nią żeliwną kratę wpuszczoną w ziemię. I dziewięć porozrzucanych kręgów. Ustawiła je, po czym ujęła kulę w palce i odchyliła ją aż do skrajnej fazy.

Pan Tolek, wsparty o cienie parku, bawił się trzymanym w palcach kieliszkiem, w którym alkohol polśniewał jak bursztynowy pierścień.

Pozostali wpatrywali się w ukośną ścianę szklarni, skąd księżyc dobywał teraz odblaski niczym z młyńskiego strumienia.

— Jakich jeszcze pacjentów tu macie? — spytał pan kierownik.

— Z panem Kiliusem jest tam jeszcze skrzypek wirtuoz Golian — mlasnął dozorca. — Żona mu uciekła z pomocnikiem fryzjerskim, który także grał na skrzypcach, ale dopiero piąty zeszyt...

— Jakże różne są powody ludzkiego szaleństwa... — westchnął pan Tolek. — Ale żeby z czegoś takiego również...

— Pan Golian wprost przeciwnie! Z tego, że mu żona uciekła, ucieszył się, ale te gruczoły, gruczoły, nieszczęsne gruczoły! — lamentował dozorca. — Pan Golian przygadał sobie nauczycielkę robót ręcznych i ta go wykończyła swoim idealizmem. Prowadziła wirtuoza na świeże powietrze nad Wełtawą i opisywała mu tak pięknie przyszłość, jaka go czeka, że pan Golian wolał cofnąć się do trzeciorzędu i zwariował. Ta nauczycielka robót ręcznych, zachwycona urodą zachodu słońca, z entuzjazmem odpowiadała wirtuozowi o tym, jak to kiedyś będzie wspaniale, gdy oboje będą mieć po sześćdziesiąt lat i ucichną namiętności, jak kupią sobie w lecie trzydzieści metrów węgla, a potem

w zimie dobrze sobie napalą w piecu i nauczycielka robót ręcznych wlezie wirtuozowi do łóżka i będzie mu na głos czytała powieści historyczne Jiraska... No i panu Golianowi na myśl o tak pięknej przyszłości zaczęły się najpierw trząść ręce, tak że nie mógł w nich utrzymać smyczka, potem nie mógł powstrzymać śliny i moczu, a w końcu stracił władzę w nogach... No, no, kłaniam się nisko, firma „Krohn Brothers” zna się na rzeczy, nie ma co! — wykrzyknął dozorca i cmoknął jak na konia.

Po czym nalał sobie resztę alkoholu.

Nadzia puściła kulę i kręgle rozsypały się jak zamachowcy. Ujęła między uda następną butelkę i wyciągnęła korek.

— Co za przyjemny odgłos! — rozkoszował się dozorca. — Dzisiaj przed południem zamiataliśmy wraz z panami Kiliusem i Golianem liście w tym parku. Praca podobno rozdrażnia zdrowych, schizofreników jednak doskonale uspokaja. A więc zamiataliśmy liście, ale dał wiatr i raz po raz zrzucił liście z wózka, na który nakładali je łopatom panowie Golian i Kilius. Ledwie zmiotli ich trochę i nałożyli na wózek, zaraz im to wiatr porywał. Po jakimś czasie zaczęli kłąć, zwracali się najpierw do liści, potem do wiatru, w bohaterskich robinsonadach rzucali się za każdym liściem. Ale ja nie czekałem, zagwizdałem, przybiegli pielęgniarze i musieliśmy panom Golianowi i Kilkusowi włożyć kaftany bezpieczeństwa, bo mieli już pianę na ustach. I od razu zastosowaliśmy wstrząsy. Pan Golian ukląkł po nich i błagał: „Jeszcze jeden wstrząsik. Jeszcze tylko jeden!” Oczywiście nie mogliśmy mu odmówić — opowiadał dozorca.

Podniósł się, klęknął pod kulą na łańcuchu i zaczął ustawiać poprzewracane kręgle.

— Wiktorze, co się dzisiaj z tobą dzieje? — spytał pan kierownik. — Przywiedłeś jak lilia. Słuchaj no, zadeklamuj mi ten mój ulubiony wiersz:

*W błękitny wieczór, w wieczór miesięczny
Byłem ja także pięknym młodzieńcem...*

— Nie da rady, szefie. Smutna jest dziś dusza moja aż do śmierci — powiedział pan Wiktor.

— Jakże to tak? — wybełkotał pan kierownik.

— Rzeczywistość sprzysięgła się dzisiaj przeciwko mnie, tak że w pełni pojąłem, dlaczego dawni Scytowie urodziny czcili płaczem, a śmierć weselem...

— Ojej! Będą kolejne alimenty — zaśmiał się pan kierownik.

— Tak, trzecie alimenty w drodze. Ludzie złoci, jakże ja cierpię z powodu tych gruczołów! Jakże mnie Pan Bóg tymi gruczołami karze! — Pan Wiktor kręcił głową.

— Zupełnie tak jak nasza madam Masza — czknęła dozorca. — Też taka przystojna! I z nieszczęśliwej miłości żyły sobie poderżnęła.

Wskazał ręką oświetlone okno.

Nagle spłynęło nań natchnienie.

— Wiecie co? Wdrapiemy się na ten oto czerwony buk. Z korony tego drzewa widać akurat doskonale wnętrze pokoju pani Maszy. Normalnie miewam zawroty głowy, ale dzisiaj? — wykrzyknął i podskoczywszy chwycił się gałęzi i zaczął się huścić.

Zeskoczył na trawnik, zręcznie się podniósł i pobiegł do pobliskiej altanki, skąd wrócił ze sznurem.

— Picie weźmiemy ze sobą — oświadczył. — Tam na górze będziemy sobie siedzieć niczym w altance. Bardzo tam wygodnie.

Wspiął się na pierwszy konar, po czym przeskakując z gałęzi na gałąź, wszedł jak po drabinie na koronę buku, skąd spuścił sznur.

— Znakomity pomysł — ucieszył się pan kierownik i przywiązał sznur do wiklinowego ucha koszyczka. — Kto chce, niech włązi za mną! — I zaczął wdrapywać się po konarach stuletniego czerwonego buka.

Panowie Bucefał i Wiktor poszli w jego ślady.

— Pan tam również polezie? — spytała Nadzia patrząc, jak koszyk unosi się w górę.

— Nie. A pani? — zapytał Tolek.

— Ależ proszę pana! To nieładnie patrzeć do czyjegóż pokoju.

— Ma pani rację.

— Ale na mnie to pan patrzył, kiedy leżałam na wpół naga w tym wózku, no nie?

— Patrzyłem i podziwiałem.

— Oczywiście, ja nie jestem porządną kobietą. Ale czy pan wie, że z tego wózka widziałam, jak Fik Tor wrócił i dał panu klucz od pokoju tej dziewczyny w tyrolskim kapelusiku, aby i pan tam sobie skoczył!

— Tak, wziąłem klucz i poszedłem do jej pokoju...

— Do pokoju? Poszedł się pan tam modlić?

— Nie, ale zrobiłem głupstwo. Powiedziałem tej dziewczynie z nenufarami, kim jest Wiktor i że płaci już alimenty dwom kobietom, i że dał mi klucz od jej pokoju... A ta dziewczyna nawymyślała mi, że jestem łobuz i drań, bo jej to powiedziałem, i jakże ma ona teraz chodzić po świecie bez wiary... jak...

To mówiąc pan Tolek szedł ścieżką poprzez ogród warzywny w stronę szklarni. Odwrócił się, poczekał chwilę, póki go Nadzia nie dogoniła, po czym patrzył przez chwilę na jej twarz objętą włosami, w których czochnął się blask księżyca. I ruszył dalej, wszedł do szklarni, gdzie pachniały zgniłe pomidory i gdzie oparta o ścianę stała zepsuta maszynka do robienia lodów. Na długich stołach stały w doniczkach tysiące chryzantem o zamkniętych zielonych pąkach.

Nadzia szła w milczeniu za Tolkiem, gładząc kosmate liście kwiatów. Na końcu szklarni znajdowała się kadź pełna wody. Na stoliku wznosiła się przyzma ogrodniczej ziemi pachnącej kwaśno torfem. Obok stał rozpylacz.

— W stosunku do mnie mieliście takie same zamiary jak co do tej dziewczyny, no nie? — odwróciła się.

— Tak — przyznał pan Tolek biorąc w palce szczyptę ziemi; rozgniół ją i powąchał.

— Tylko że mnie to byście musieli zgwałcić! A zgwałcić mnie nie udało się nawet rzeźnikowi, wie pan? — spytała i wzięła rozpylacz. Naciągnęła z kadzi wodę i zaczęła ją rozpylać w kierunku szklanego dachu, gdzie księżyc lśnił jak kłęb waty. Obłoczek mgły otaczało kolorowe widmo.

— Tęcza — powiedziała. — Wy, mężczyźni, jesteście wszyscy jednakowi. I dziwicie się później, że ja, jeśli mi ktoś powie, że jest czwartek, jestem mu skłonna uwierzyć, ale przedtem na wszelki wypadek zaglądam do kalendarza... — Oparła się o drzwi. — Życie czasami wcale nie jest łatwe, zwłaszcza jeśli człowiek wie, co to znaczy być opuszczonym. Nie przez kogoś, ale tak w ogóle. Pan to z pewnością wie także,

bo wie o tym tylko ten, kto musi żyć życiem agenta oferującego świeże powietrze.

Podniosła rękę i założyła ją za kark, chwytając się drzwi.

Obłoczek mgły tworzył wokół księżyca aureolę, a delikatne kropelki osiadały na włosach dziewczyny niczym brylantowy pył.

— Wie pan — mówiła, jakby nasłuchiwała siebie samej — kiedy się tak przemoknie, kiedy interesy nie idą, kiedy ludzie są dla siebie tak ordynarni tylko dlatego, że ty nie jesteś tak ordynarny jak oni, i kiedy zamieszkas „Pod Błękitną Gwiazdą”, w „Domu Panów” czy „Pod Zielonym Drzewem” i Bóg jeden wie, jak się te wszystkie zajazdy i hotele nazywają... i jesteś sam w zimnym pokoju, gdzie znajduje się tylko wieszak, który przypomina szubienicę, i lustro niczym wyrzut sumienia, i leżysz teraz w zimnym łóżku, i nasłuchujesz, i odgadujesz wszystkie te dźwięki i głosy... ach, jakże ja niekiedy czuję się opuszczona! I każdy łobuz, który widzi ciebie, jak wchodzisz do hotelu, zaraz sobie myśli, że z ciebie zwykła kurwa i że może sobie w stosunku do ciebie na wszystko pozwolić, ojej, ojej! Zna pan to? Leżysz w pokoju na brzuchu, zwisasz poprzez krawędź łóżka jak ręcznik przerzucony przez rurę i szcękasz zębami, i jęczysz z rozpacz... —

— Mężczyzna lepiej znosi to wszystko.

— A więc przynajmniej pan mnie rozumie — powiedziała. — My oboje moglibyśmy być dla siebie czymś więcej niż bliźniami. Więcej niż bliźniami. Dlatego taka jestem ciekawa, co to miał pan kierownik na myśli, kiedy mi „Pod Czarnym Koniem” powiedział: „Będzie pani wspaniałą agentką, hipnotyzującą oczyma i gestem...”

— Tak pani powiedział?

— Tak. Przypomina pan sobie? Wtedy gdy go oczarowałam pomysłem, abyśmy wspólnie założyli spółdzielnię „Rzeźba Nagrobna”? Albo wspólnie zaczęli jeździć z obrazami...

— Już sobie przypominam...

— No, nareszcie! Zaczęłabym wszystko, byle tylko wspólnie. Bylebym tylko nie musiała jechać znowu sama w teren. Dość mam już tej samotności i opuszczenia.

— No tak, pan kierownik wiele obiecuje. I jakie szerokie ma perspektywy! Ileż wspaniałych zajęć stawia przed nami na horyzoncie. Wkrótce jednak zapomina. To romantyk.

— A ja wierzyłam w każde jego słowo.

— Kiedy ktoś powie pani, że jest czwartek, niech pani następnym razem przyzna mu rację, ale przedtem niech pani lepiej zajrzy do kalendarza...

— Miałabym więc w poniedziałek znowu sama wyjechać w teren? Znowu zaczynać w Letohradzie wykład na temat: „Coto jest wywabiacz marki «Tęcza»”?

— Tęcza. A gdzie pani tam sypia?

— W gościnnym pokoju za teatrzykiem, w pokoju, który w sobotę albo w niedzielę jest teatralną garderobą. To jeszcze nie jest najgorsze. Miło spać pośród luster i stolików ze szminkami i perukami. Kiedy tam ostatnio nocowałam, odbywała się próba „Koszar w Ujazdowie”. Położyłam się na kanapie, włosie mnie kłuło, uchyliłam drzwi i z ciemności patrzyłam na scenę, gdzie stało dwoje kochanków, kochanków na niby, i reżyser przeprowadzał z nimi próbę miłosnego duetu... I fortepian brząkał i tych dwoje śpiewało. — Nadzia zanuciła:

*U stóp Petrzynu koszary stoją,
Dziewczęta wabi mundurów kolor.*

*Gdy wieczór gaśnie, capstrzyk tam brzmi,
A w kacie serce stęsknione śni...*

— Ma pani wspaniałą pamięć!

— Próba trwała dwie godziny — zaśmiała się.

— A później to ci dopiero była heca! Sześciu młodych ludzi stało w szeregu, w rękach laseczki ze srebrną gałką, na głowach cylindry... I reżyser do północy nie mógł ich nauczyć, aby w zgodzie z melodią na zmianę podnosili w takt nogi niczym girlsy, a jednocześnie wznosili w górę laseczki i dokładnie — w zgodzie z rytmem — dotykali kokieteryjnie palcami policzków... Śpiewali przy tym:

*A za to, że Hanke
pieścił nad kolankiem,
marny jego los,
marny jego los!...*

Mordowali to, spoceni i nieszczęśliwi... a ja miałam drzwi do pokoju uchylone i leżałam w ciemności, bazgrząc ręką po brudnej podłodze...

— To piękne — powiedział pan Tolek. — Szkoda, że nie mogę z panią jechać do Letohradu.

— Dlaczego pan nie może? Niech pan ze mną jedzie. I w ogóle... złączmy razem nowe, zupełnie inne życie. Mam dla pana piękne zajęcie...

— Mianowicie?

— Akcja nazywa się „Skrzydła Ojczyźnie”. Będziemy wspólnie odwiedzać przedsiębiorstwa i prywatne osoby, aby deklarowały pieniądze i wpisały się bądź też przybiły swoją pieczętkę w pięknej księdze z napisem „Skrzydła Ojczyźnie”, po to, by za rok albo za dwa lata

można było za tę sumę kupić samolot i jako dar narodu ofiarować żołnierzom...

— Na jaki procent?

— Dziesięć — odparła i oczy jej się rozszerzyły. — Moglibyśmy przy tym zbierać ogłoszenia. Najwyższa Izba Kontroli zamierza opublikować obszerną księgę dla administratorów i urzędników państwowych informującą o sprawach podatkowych. Jedna trzecia część księgi ma być poświęcona ogłoszeniom. A te ogłoszenia my byśmy właśnie zbierali... — poruszała paluszkami, po czym wzięła Tolka za kłapę i szepiała: — Przychodzimy do biura zarządu państwowego i pytamy: „Kto tu jest administratorem?” Pracownik pyta: „Kogo mam zameldować?”, my zaś odpowiadamy: „Najwyższą Izbę Kontroli!” Po chwili zjawia się pobladły i zdenerwowany administrator, bo któryż spośród administratorów państwowych nie przełęknie się Najwyższej Izby Kontroli? My mu zaś powiemy, że przyszliśmy tu w związku z tą księgą, która mu ułatwi jego pracę w dziedzinie podatkowej... I zapytamy, jak duże chciałby dać ogłoszenie. Jedna ósma, ćwierć czy też połowę strony? No i administrator państwowy z chęcią zapłaci za ogłoszenie nawet na połowę strony, bo odetchnie z ulgą, że nie przyszliśmy na kontrolę. A za każde ogłoszenie mielibyśmy trzydzieści procent. Przede wszystkim zaś nie byłabym tak opuszczona, rozumie pan?

Spuściła oczy i Tolek ujrzał szczerą twarzyczkę objętą włosami, w których chrzęścił blask księżyca. Przytulił twarz do jej policzka, w dłoni zaszeleściły mu jej włosy i patrzył poprzez drzwi szklarni ponad zakładowym ogrodem warzywnym w głąb parku,

gdzie w koronie pewnego drzewa siedziało na konarze czterech mężczyzn spoglądając w głąb oświetlonego pokoju.

Jedną ręką przytrzymywali się gałęzi nad głową, w drugiej zaś trzymali kieliszki z alkoholem.

— Panowie — oznajmił dozorca — kobiety są zdolne do wielkich uczuć. Panią Maszę przywieziono najpierw do szpitala Jiraska z podciętymi żyłami, a kiedy ją opatrzone, posłano ją tu do nas, bo każde samobójstwo to na swój sposób schizofrenia. O, ta firma „Krohn Brothers” rzeczywiście zna się na rzeczy! Ho, ho! Omal nie spadłem! Za pomocą psychoanalizy rozgryźliśmy panią Maszę i jej serce. Nieszczęśliwa miłość! — wykrzyknął dozorca.

Wszyscy patrzyli w głąb pokoju, gdzie na krześle siedziała piękna niewiasta, nieruchoma jak posąg, i paliła jednego papierosa za drugim, a na kolanach miała pełno popiołu.

— Oto czego chciałbym jeszcze raz w życiu zaznać! — zawołał pan kierownik. — Miłości jak nagła cholera! Dałbym za to wszystkie pieniądze! Zgodziłbym się nawet na taki koniec w domu wariatów... W kim się zakochała?

— W tramwajarzu!

— W tramwajarzu?

— W tramwajarzu. Małżonka praskiego adwokata, kobieta, która zna biegle trzy języki, która ma doktorat z estetyki, matka dwojga dzieci! I zwariowała na punkcie chłopca, który wymienia szyny tramwajowe. Zatelefonovaliśmy więc do małżonki i powiadomiliśmy go o tym w delikatny sposób. A pan mecenas powiada: „Wiem o tym od dawna! Kiedy ten facet rzucił moją żonę, poszedłem do niego i prosiłem go, a potem ukląknę

przed nim na kolana błagając, aby w interesie mojego szczęścia rodzinnego nadal kontynuował miłosne cudzołóstwo. Ale ten facet powiedział, że nie da rady, że mu się moja małżonka już nie podoba i że przygadał sobie teraz nauczycielkę gimnastyki” — opowiadał mężczyzna, a wszyscy agenci — trzymając się jedną ręką — wychylali się jeszcze bardziej, aby jak najwięcej wyczytać z twarzy tej zastygłej w bezruchu kobiety.

Gałązki czerwonego buka dotykały szyb w oknie jej pokoju, a kiedy wiatr powiał, gałązki uderzały w okno, lecz pani Masza nic nie słyszała. Tylko popiół z papierosów nadal sypał się na jej kolana.

— Zakochani mężczyźni... Z nimi jest trochę inaczej, oni wolą pisać — mówił dozorca. — Ojej, znów omal że nie spadłem! A wynika to stąd, że niewam zawroty głowy. Pewien pacjent, niejaki Hloucal, który od dziesięciu lat codziennie wstawał rano o dziesiątej, słał łóżko, wkładał czapkę i stał tak aż do wieczora, porządnie mnie pewnego razu urządził. Przechodził profesor z orszakiem swoich studentów i opowiadał o pacjentach, a kiedy wyszli — szedłem jako ostatni — wówczas pan Hloucal wyrwał ze straszliwą siłą stół przyśrubowany do ściany i rozbił mi go na głowie ze słowami: „A to ci posyła archanioł Gabriel!” Dopiero po upływie pół roku wypuszczono mnie jako rekonwalescenta do domu. Kiedy indziej znów zaginął nam pewien pacjent... Noc była wietrzna, burzliwa... Szukaliśmy pacjenta wszędzie, nawet tu, w parku... I nagle usłyszeliśmy takie głuche odgłosy w koronie tego czerwonego buka. Poświeciliśmy latarką i zobaczyliśmy, że na tym konarze wisi pacjent, obok niego zaś, tak jak teraz ten koszyczek, chwije się na sznurze walizka, którą wiatr kołysał, tak że uderzała

o pień. Zdjęliśmy wszystko, otwieramy walizkę... i — trzymajcie się dobrze! — pełno w niej było dzieciennych zeszytów do kaligrafii, a w każdym z tych zeszytów nic prócz: „Kocham cię, kocham cię...” Pięć milionów razy te same dwa słówka, jak by to pisał chłopiec, który za karę musi pisać po lekcji słówka, które z tej walizki wypełzały niczym dwa pudy mrówek...

Od głównego budynku szedł ktoś zataczając się. Badawczy promień latarki elektrycznej oświetlał korony drzew, tak jak aparat projekcyjny przecina smugą blasku mrok sali kinowej.

— Kto tam? — zawołał głos, gdy latarka objęła kręgiem światła grupę mężczyzn w gałęziach czerwonego buka.

— Nie wariuj, Franuś! To ja! — zawołał oślepiiony dozorca.

— Tu Franciszek, a nie żaden Franuś! W imieniu prawa, co tam robicie?

— Piknik — odrzekł pan kierownik.

— A więc w imieniu prawa zejździe na dół i przygotujcie dowody osobiste! — wołał głos strażnika. — W przeciwnym razie pozestrzelam was jak kaczk!

— Schodzimy. Franuś gotów rzeczywiście od razu strzelać do wszystkich — oświadczył pan Bloudek i z łatwością zaczął przeskakiwać z gałęzi na gałąź.

Na końcu spuszczone w dół koszyczek. Pan Bucefał ujął kieliszek, ale kiedy chciał nalać alkoholu, strażnik wycelował weń z rewolweru:

— Ręce do góry, bo strzelam! Coście tu robili?

— Nic — odpowiedział pan kierownik. — Siedzimy na ławeczce, pijamy i podziwiamy urodę tej księżycowej nocy.

— Świętowaliście coś! — wykrzyknął strażnik.

— Nie... Zachwycamy się pięknem natury — tłumaczył pan kierownik. — Nigdy nie zdarzyło się panu wyjść w taką noc jak ta ot tak sobie, bez celu?...

— Nie! — oburzył się strażnik. — Obchodziliście tu czyjeś urodziny lub imieniny! — krzyknął. — Dowody osobiste!

Przejrzał dowody, ale żadne imię i żadna data nie zgadzała się z urodzinami czy też imieninami.

Oddał dowody i posmutniał.

Nagle coś jeszcze przyszło mu do głowy:

— A więc któryś z was wygrał na loterii albo dostał ładny spadek!

— Franusiu, napij się — zaproponował dozorca.

— Na imię mi Franciszek! — Strażnik uparcie trwał przy swoim.

— Ani los na loterii, ani spadek! — powiedział pan kierownik. — Niech pan wreszcie zrozumie: siedzimy tak sobie na ławeczce, popijamy i rozmawiamy, oczekując, aż będzie świtać. Niech pan napije się ode mnie!

Podał strażnikowi kieliszek, ten zawahał się, po czym jednak przyjął, powąchał alkohol i spytał:

— A nie okradliście jakiegoś sklepu kolonialnego, co?

Dozorca nalał sobie do kieliszka i usiadł na ziemi.

— Wiecie, panowie, Franciszek to uczciwy człowiek, ale od czasu jak mieliśmy kłopoty z tym kasia-
rzem Ernim, nikomu nie dowierza.

— Proszę otworzyć ostatnią butelkę — polecił pan kierownik.

Dozorca ucieszył się i zaczął opowiadać:

— Erni siedział w twierdzy w Teresinie i tak znakomicie symulował tam paranoję, że przywieźli go

do nas. Nie upłynął tydzień, a Erni stał się ulubieńcem domu wariatów. Przystojny, znał języki, ale pewnego razu nie mogliśmy go znaleźć, usnął podobno w tej tam altance. A nazajutrz przyszli z policji kryminalnej i powiadają: „Posłuchajcie, wydaje się nam, że Erniego widziano na placu Świętego Wacława. Pilnujcie go tu dobrze!” Kontrolowaliśmy więc Erniego co godzinę. A tu pewnego wieczora jego łóżko znowu puste! Zawiadomiliśmy o tym policję kryminalną, a następnego ranka przyszedł Erni z ogrodu i ziewając powiada, że znów zasnął w tamtej altance. Przyjechali z policją i mówią: „No tak, zgadza się. Erni zrobił w nocy kasę w Bernie!”

— Panowie — spytał strażnik — nie jesteście wy przypadkiem kasiarzami?

Kierownik wyjął korek i nalał do kieliszków.

— Mówię panu — tłumaczył — że urządziliśmy sobie nocny piknik. Czyż mieliśmy pójść do jakiegoś lokalu nocnego i bawić się w dymie? Widzi pan ten cudowny księżyc? Widzi pan te krople rosy na liściach kapusty włoskiej? Słyszy pan, jak w świeżym powiewie szeleszczą liście na drzewach? Ale przyjechali z policją i mówią: „No tak, zgadza się. Erni zrobił w nocy kasę w Bernie”. I co było dalej?

Pan kierownik podał strażnikowi kieliszek. Strażnik jednak popijając z wolna nie przestawał myśleć, co też to towarzystwo może tu robić.

Dozorca oparłszy się plecami o pień czerwonego buka rozrzucił nogi i bawił się kieliszkiem.

— I poszli prosto do Erniego: „A więc to pan zrobił dzisiaj kasę w Bernie!” Młoda pani doktor wyraziła wątpliwość, ale szef policji kryminalnej powiada: „Sądząc po robocie mógł to zrobić tylko Erni,

Erni nie jest młynarzem, Erni pracuje w rękawiczkach...” — ciągnął dozorca. — Młynarzami nazywają kasiarzy, co rozpruwają ściany kasy świniąc przy tym siebie i wszystko dokoła. A więc policja kryminalna zaczęła robić rewizję i tam w altance znaleziono jasne ubranie, takie samo, w jakim widziano Erniego na placu Świętego Wacława — mówił dozorca. Fiknął koziołka, po czy podniósł się i chwiejnym krokiem ruszył do altanki, otworzył szklane drzwi i wskazał do środka: — Tu znaleziono to ubranie... A potem przekopywali ogród i tam znaleźli zawinięte w kozłową skórkę kasiarskie narzędzia... chromowana stal... A Erni stał obok drzewa. Jeden z detektywów przyskoczył i założył mu kajdanki. I już go mieli! Za pół roku przysłał nam kartkę: „Wesołego Alleluja życzy wszystkim szczerze oddany Erni”...

— Że też tak łatwo dał sobie nałożyć kajdanki? — wyraził wątpliwość kierownik.

— To zupełnie proste — powiedział pan Bucefał.

— Mnie by tak łatwo obrączek nie założyli! — wykrzyknął pan kierownik.

Dozorca ponownie napełnił wszystkie kieliszki, po czym trzymając butelkę szyjką ku ziemi powiedział:

— *E morta!*

Raz jeszcze wszyscy stuknęli się kieliszkami.

— Powtarzam: mnie by tak łatwo obrączek nie założyli — krzyknął kierownik.

— Na pewno by założyli — oświadczył pan Bucefał i podskoczywszy z niewiarygodną łatwością włożył kierownikowi stalowe kajdanki.

Panowała cisza, blask księżycy jakby przez soczewkę skupił się na metalowych obrączkach.

— Jest pan aresztowany — oznajmił pan Bucefał.

— Oto co usłyszał Erni — wycedził z wolna kierownik.

— Nie tylko on — sprostował pan Bucefał. — Proszę się na mnie nie gniewać, panie kierowniku. Oto moja odznaka, a oto nakaz aresztowania. Po Wiktora... pana Wiktora przyjdziemy jutro. W jego wypadku nie grozi niebezpieczeństwo aresztowania. Przez dziesięć dni pracowałem z panem proponując szczęśliwą przyszłość. Pomógł mi pan zrozumieć technikę waszej pracy. Serdeczne dzięki w imieniu policji kryminalnej. Rzecz jasna, panie kierowniku, będzie mi pana brak... Pana i księżycowych nocy...

— A Tolek? — spytał Wiktor.

— Bierzemy go pod uwagę jedynie jako świadka — powiedział detektyw.

— Ale to przecież pan załatwił drogistę! — wykrzyknął Wiktor.

— Załatwiłem, aby was wprowadzić w błąd — wyjaśnił detektyw. — Po południu odesłałem mu pieniądze przekazem pocztowym.

Gdy weszli pomiędzy stuletnie buki i blask księżycowy znaczył ich wapiennymi pasami i plamami, detektyw ujął pana kierownika za rękaw.

— Pan się na mnie gniewa, panie kierowniku? Taki już mój zawód. Istnieje na świecie podział ról, jak powiedział nam przez parkan ten adwentysta Góraczek... Ma pan więcej takich spraw na sumieniu? Proszę wyznać ręką na sercu... Ogromne łapówki, oszustwo za oszustwem na miliony... Ale pan się na mnie gniewa? No tak. Proszę mi wierzyć, że gdyby ta „Spokojna Starość” opierała się na realnych podstawach, sam bym z wami poszedł... Wierzy mi pan? Ale może przestanie się pan na mnie gniewać... Byłoby mi przykro, słowo honoru...

Poprzez gałęzie drzew księżyc oświetlał ręce w kajdankach.

Pochłapany białym blaskiem strażnik stał przy ławce i wołał:

— Proszę jeszcze nie odchodzić! Proszę spojrzeć na tę piękną noc. Na ten niezwykły księżyc i na kapustę włoską pełną kropel rosy. Proszę wrócić! Proszę spojrzeć, jaka cudowna jest ta noc!

We wnętrzu budynku ktoś zaczął przeraźliwie jęczeć.